

PAULA DETMER RIGGS

Noc bez księżycyca

Night Of The Dark Moon

Tłumaczyła: Urszula Pióro

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niebo było czarne niczym wdowi welon. Ostry wiatr szarpał liście palm kokosowych, a spienione fale oceanu z głuchym łoskotem uderzały o brzeg. Konie na ranczu Sinclairów rżały nerwowo i nie sposób było ich uspokoić. Zbierało się na burzę.

Quinn Sinclair siedział w swoim biurze. Słuchał żalosnego zawodzenia wiatru, myśląc o ogrodzeniu, które z pewnością trzeba będzie jutro naprawić.

– Quinn, czy ty mnie słuchasz?

Mężczyzna przysunął słuchawkę telefonu bliżej do ucha, przytrzymując ją ramieniem. Założył nogi na antyczne, odziedziczone po pradziadku biurko z akacji hawajskiej i wygodnie rozparł się na fotelu.

– Przepraszam, stary – mruknął do słuchawki. – Idzie burza. Może narobić kłopotów.

– Burza! Też mi problem! – prychnął pogardliwie jego rozmówca. – Nie po to dzwonię do ciebie z drugiego końca świata, by wysłuchiwać prognozy pogody. No więc, jak będzie?

– Do diaska, Eddie! Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko, ale to nie moja działka. To Meg zajmuje się gośćmi. Ja jestem tylko chłopak od brudnej roboty. No wiesz, konie, bydło...

– Komu to mówisz! Dobrze wiem, że całe ranczo należy do ciebie. Zaraz, zaraz, ile tego właściwie jest? Dwieście tysięcy akrów?

Quinn ziewnął szeroko. Dzień zaczął się dla niego, jak zwykle, o brzasku i ciągle jeszcze nie widać było końca.

– Coś koło tego.

– Więc zrób coś – nalegał Eddie. – Pogadaj z siostrą i załatw ten pokój dla Anne.

Anne? Czy tak właśnie miała na imię ta kobieta? Quinn niezbyt uważnie słuchał przyjaciela. Zmęczenie coraz bardziej dawało mu się we znaki. Zesztywniały kręgosłup, bolące mięśnie. Przez pięć dni z rzędu od świtu do nocy prawie nie zsiadał z konia.

W okresie swego rozkwitu ranczo Sinclairów dawało pracę czterdziestu *paniolas*, teraz zaś musieli radzić sobie w dziewięciu, wliczając w tę liczbę jego samego. Główną przeszkodę stanowiły, rzecz jasna, pieniądze. Interesy szły nie najlepiej. Zanosilo się na to, że do maja, kiedy to przypadał na Hawajach szczyt sezonu turystycznego, będzie zmuszony zwolnić kolejnych pracowników. Mężczyzna podrapał się po szorstkim od zarostu podbródku i pomyślał o księgach podatkowych, do których nie zaglądał już chyba od tygodnia.

– Kłopot w tym, Eddie, że mamy tylko dwadzieścia pięć miejsc noclegowych i wszystkie są już zarezerwowane na trzy miesiące z góry.

– A ten pokój obok twojego? – nie ustępował przyjaciel. – No wiesz, ten, który zajmowałem z Candy?

Quinn zmarszczył brwi. Candy. Słodka Candy, żona Eddiego. Startowała do każdego faceta na ranczu. Do niego również, dopóki nie dał jej jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowany.

– Daj spokój, Eddie! Ta część domu jest przeznaczona wyłącznie dla rodziny. To jedyne miejsce, gdzie można odpocząć od turystów.

Pięć tysięcy mil od malowniczo położonego rancza Sinclairów zastępca prokuratora generalnego Edward C. Franklyn siedział w fotelu swojego biura w ponurym gmachu Departamentu Sprawiedliwości i posepnym wzrokiem wpatrywał się w szalejącą za oknem śnieżycę. Przed nim na biurku leżała gruba teczka z charakterystyczną żółtą naklejką Programu Ochrony Świadców. Do akt dopięta była kolorowa fotografia przedstawiająca młodą, roześmianą kobietę w szortach i wojskowej koszuli. Puszyste jasnoblond włosy w łagodnych falach opadały jej na ramiona, na szyi wisiał wysokiej klasy aparat fotograficzny. Kobieta nazywała się Anne Oliver, miała trzydzieści trzy lata i była znanym fotografem. W obecnej chwili zaś stanowiła główny problem Eddiego Franklyna. Niełatwo mu było przekonać Quinna Sinclaira, zwłaszcza gdy w grę wchodziła kobieta.

Postanowił spróbować inaczej.

– Właśnie to usiłuję ci cały czas wytłumaczyć. Anne to prawie rodzina. Najlepsza przyjaciółka Candy. Pracowały razem... w Nowym Jorku.

Nie przyszło mu to łatwo. Choć małe łgarstwa były jedną z podstawowych umiejętności w zawodzie, który wykonywał, Eddie Franklyn nie lubił mijać się z prawdą. Szczególnie kiedy chodziło o człowieka takiego jak Quinn Sinclair, dla którego miał wiele szacunku i podziwu.

Wybacz, przyjacielu – pomyślał. Kiedyś to zrozumiesz.

– Wiesz co, Eddie? Mam pomysł. Postaram się załatwić ten pokój dla przyjaciółki Candy gdzieś w okolicy. Może na innych ranczach mają jeszcze jakieś wolne miejsca. No, co ty na to?

W słuchawce zachrobotąło, zatrzeszczało.

– Słuchaj, stary, potraktuj to jako osobistą przysługę – przebił się przez szum głos Eddiego Franklyna.

Quinn zmarszczył brwi. Przysługa?! – pomyślał. A więc nadszedł czas, by spłacić dług wdzięczności. No tak, Ed Franklyn miał prawo prosić go o dużo, dużo więcej niż jakiś tam pokój.

– W porządku – mruknął. – Daj mi znać, kiedy ta dama przylatuje. Wyślę helikopter na lotnisko w Hilo.

– Jej samolot ląduje jutro, o czwartej po południu. Kobieta nazywa się Oliver. Anne Oliver. Na pewno ją rozpoznasz. Wysoka blondynka. Prawdziwa piękność.

– Powiedziałem, że kogoś wyślę, Eddie. Chyba nie myślisz, że sam odbiorę ją z lotniska.

Chwila ciszy.

– No cóż! – Do uszu Quinna doleciało ciężkie westchnienie. – Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że zajmiesz się wszystkim osobiście. Odbierzesz Anne z lotniska, pokażesz jej okolicę, no wiesz...

Quinn zdjął nogi z biurka i wyprostował się w fotelu.

– Rany, Eddie! Nie jestem facetem z jakiejś pieprzonej agencji towarzyskiej!

– Nie masz o co się obrażać, Quinn. Anne jest... naprawdę wyjątkowa i potrzebuje specjalnej... opieki – usprawiedliwiał się Franklyn.

– Chcesz powiedzieć, że to jedna z tych wyfiokowanych miejskich damulek, które boją się myszy i mdleją na widok węża? Zresztą... mniejsza o to. Chyba cię zrozumiałem.

Franklyn gorąco przeklinał w duchu nagły przyływ patriotyzmu, który pchnął go do przyjęcia rządowej posady.

– Umówmy się, że na czas pobytu Anne na ranchu pohamujesz odrobinę swój wybuchowy temperament i będziesz traktował ją jak dobrą znajomą, dobrze? – poprosił.

Wzrok Quinna powędrował w stronę drzwi łączących jego pokój z sąsiednią sypialnią.

Modelka! – prychnął w duchu. Wysoka blondynka. Prawdziwa piękność, powiedział Eddie. Chłopaki na ranchu będą prześcigać się, który ma osiodłać jej konia czy przypalić papierosa.

– W porządku, Eddie – zgodził się niechętnie. – Dopilnuję, żeby wyjechała stąd zadowolona. Masz na to moje słowo – zapewnił przyjaciela i pośpiesznie odłożył słuchawkę, w obawie, by nie zmienić zdania.

DC9 z Honolulu wylądował w Hilo dziesięć minut przed czasem. Wszystkie miejsca były zajęte. Nadzieje Anne na krótką drzemkę podczas lotu rozwiały się zaraz po starcie, kiedy to okazało się, że jej sąsiadka, drobna osiemdziesięcioletnia staruszka, panicznie boi się latania. Jeszcze nim koła samolotu oderwały się od płyty lotniska, starsza pani kurczowo ścisnęła ją za rękę. Za każdym razem, kiedy rozmowa urywała się, staruszka bladła i wpadała w panikę. Od bezustannej paplaniny dziewczyna zaczynała już dostawać chryпки. Sama zresztą też nie czuła się najlepiej. Pomimo że w kabinie samolotu panował przyjemny chłód, była cała mokra. Kiedy zaś wstała, nogi ugięły się pod nią, jakby były z gumy.

– No nie! Chyba nie zemdleję! – zamruczała pod nosem. – Kobietom z rodu Oliverów nigdy się to nie zdarza.

Oliverowie byli starą szkocką szlachtą, twardymi góralami, którzy wstydzili się okazywania swoich słabości i skrzętnie je ukrywali. Problem w tym,

że w tej chwili wcale nie czuła się na siłach, by sprostać temu zadaniu. Po dwutygodniowym pobycie w szpitalu była słaba jak dziecko.

Poczekalnia lotniska w Hilo była mała i zatłoczona. Przedstawiciele agencji turystycznych witali swoich klientów, zakładając im na szyje tradycyjne *lei*, łańcuchy uplecione z kolorowych, egzotycznych kwiatów. Rodziny pozdrawiały przybyłych z kontynentu krewnych. Na każdego z pasażerów ktoś czekał, tylko ona była zupełnie sama w tym różnojęzycznym tłumie. Nic się nie martw – powiedział Franklyn odprowadzając ją na lotnisko w Dulles. – Quinn się wszystkim zajmie.

Anne zmarszczyła brwi przypominając sobie tamtą rozmowę. Wcale nie spodobał jej się pomysł zastępcy prokuratora generalnego. Być zdaną na łaskę obcego człowieka, gdzieś na końcu świata. Człowieka, który na dodatek brał ją za kogoś zupełnie innego. Modelka! A to ci dopiero! Franklyn mógłby wymyślić coś lepszego. Zresztą, czy to takie ważne? Przecież to tylko dwa miesiące, a nie całe życie. Przez dwa miesiące może trochę poudawać, a potem... Potem wróci do Waszyngtonu, by stanąć za barierką dla świadków w sądzie federalnym, twarzą w twarz z czwórką sadystycznych morderców, którzy próbowali ją zabić. Zadrzała. Strach ścisnął jej gardło i minęło dobrych parę minut, nim Anne udało się nad nim zapanować.

A więc... Gdzie pan się, u licha, podziwia, panie Sinclair?! – pomyślała ze złością. Franklyn określił go jako prawdziwego twardziela, półkrwi Polinezyjczyka, potomka jednej z najstarszych rodzin na wyspach. Wysoki, dobrze zbudowany, z wypisanym na twarzy ostrzeżeniem: lepiej ze mną nie zaczynaj, które Franklyn kazał jej zignorować.

– To ranczo jest wspaniałe – przekonywał ją. – Bardzo romantyczne. Szczególnie lubiane przez nowożeńców. Zobaczysz, że ci się spodoba. Tylko pamiętaj, buzia na kłódkę. Nikt nie może dowiedzieć się, dlaczego tam jesteś. Nawet Sinclair.

Uczucie słabości nie ustępowało. Prawdę mówiąc, z każdą minutą czuła się coraz gorzej. Rozejrzała się dokoła, baczным spojrzeniem obrzucając kolorowo ubrany tłum. Na próżno. Żaden z otaczających ją mężczyzn nie pasował do opisu Franklyna.

Poprawiła pasek przewieszanej przez ramię torby. Nie opodal dostrzegła wolne krzeselko. Usiądę sobie i tam na niego zaczekam – postanowiła. Była już prawie w połowie drogi, kiedy tuż za swoimi plecami wyczuła czyjąś obecność. Odwróciła się gwałtownie.

– Czego pan chce? – rzuciła ostro. Przyzwyczajona do równych jej wzrostem mężczyzn ze zdziwieniem stwierdziła, że jej wzrok znajduje się na wysokości imponująco szerokiej klatki piersiowej, porośniętej ciemnymi, gęstymi włoskami, wychylającymi się zza kołnierzyka sportowej koszuli. Z ramienia mężczyzny zwisało kwieciste *lei*.

Podniosła do góry głowę. Ciemne, bystre oczy, których koloru nie potrafiła określić, obrzuciły ją zaciekawionym spojrzeniem. Włosy mężczyzny miały ten sam niezdecydowany kolor, co jego oczy. Zbyt ciemny, by nazwać go brązowym, ale nie czarny.

– Powoli. Spokojnie. Nie chciałem pani przestraszyć.

– Miał niski, przyjemny dla ucha głos.

– Ale nie udało się to panu – mruknęła Anne. Ciągle jeszcze nie mogła się uspokoić. Serce waliło jej jak oszalałe. Ręce drżały.

– Jeszcze raz przepraszam – uśmiechnął się mężczyzna.

– Jestem dość duży, więc myślałem, że nie sposób mnie nie zauważyć.

Anne obrzuciła uważnym spojrzeniem potężną sylwetkę.

– W porządku. Nie żywię do pana urazy.

– To dobrze. Jestem Quinn Sinclair. Zmusiła się do uśmiechu.

– Anne Oliver. Mów mi Anne – powiedziała wyciągając rękę.

Mężczyzna zdjął z ramienia kolorowe *lei* i założył je dziewczynie na szyję.

– Witaj na Hawajach! – uśmiechnął się, całując jej blady policzek.

Jego usta były szorstkie i gorące. Anne zadrżała.

– Uhm. *Mahalo...* to znaczy, dziękuję – zamruczała. – Dziękuję, że zgodziłeś się gościć mnie na swoim ranczo.

– Drobiazg.

Wybierając się na lotnisko Quinn spodziewał się, że ujrzy prawdziwą piękność. Nie przypuszczał, że kobieta, którą przysłał Eddie, będzie miała bladą, zmęczoną twarz i ciemnofioletowe sińce pod oczami. Wyglądała jak ktoś, kto przebył długą i ciężką chorobę.

Jej oczy, otoczone gęstymi, podwiniętymi do góry rzęsami były zielonozłote. Przedłużone w kącikach ciemnym ołówkiem przywodziły na myśl oczy kota, który zbyt długo wylegiwał się na słońcu. Jasne włosy wyglądały jak rozjaśnione przez słońce, ale Quinn wiedział, że zawdzięczają ten kolor staraniom fryzjera w jednym z tych modnych i bardzo drogich zakładów na Manhattanie.

Ma klasę! – pomyślał. I do tego jest tak cholernie seksowna. Do licha! Nic dziwnego, że Eddie nazwał swoją prośbę przysługą. Po plecach przeleciał mu przyjemny dreszczyk podniecenia. Ta mimowolna reakcja zirytowała go. Ilekroć nie potrafił zapanować nad swoimi emocjami, kończyło się to kłopotami.

Dwa miesiące! – westchnął ciężko w duchu. Nie ma co, Eddie, ładnie mnie urządziłeś! Dzięki, stary!

– Gotowa? – przerwał krępującą ciszę. – Chciałbym wrócić na ranczo, zanim zacznie się ściemniać.

– A ja, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym jeszcze odebrać resztę bagażu – zażartowała.

– Tylko pod warunkiem że pozwolisz mi sobie pomóc – odparł, odwzajemniając jej uśmiech.

– Nie jest tego dużo. Tylko dwie torby, oprócz tej. – Poprawiła pasek na ramieniu. Quinn ze zdziwieniem uniósł brwi. No tak – pomyślała. Dla niego była przecież modelką. Przyjechała tu na dwa miesiące. Powinna była zabrać ze sobą co najmniej dwie szafy ciuchów.

– Tędy. – Mężczyzna sięgnął po podręczną torbę Anne i zarzucił ją sobie na ramię.

– Zaparkowałeś przed wejściem? – Anne prawie biegła, chcąc dotrzymać mu kroku.

– Nie. Przyleciałem helikopterem.

Helikopter! Poczowała nieprzyjemne, dobrze znane ściskanie w dołku. Nie cierpiała helikopterów.

– Czy to daleko? Mam na myśli ranczo – wydusiła.

– Nie. Jakies dwadzieścia minut lotu.

Westchnęła ciężko. Dwadzieścia minut! Cała wieczność!

Helikopter zakołysał się gwałtownie i Quinn mocniej zacisnął palce na drążku sterowym. Popatrzył w dół. Pod nimi rozciągała się ciemna płaszczyzna nieczynnego od stuleci wulkanu Halemaumau. Potok zaschniętej lawy utworzył coś w rodzaju ścieżki, po której Quinn zawsze trafiał do domu.

Polinezyjczycy zamieszkiwali te wyspy od wielu pokoleń, kiedy to Josiah Sinclair, majtek z wielorybniczego klipera, porzucił morze i swych współtowarzyszy, znęcony przygodą i perspektywą szybkiego wzbogacenia się. Udało mu się znaleźć i jedno, i drugie. Umarł w sześćdziesiąt lat później jako jeden z najbogatszych ludzi na wyspach. Quinn i jego siostra, Meg, byli ostatnimi z potomków starego Josiaha. Meg odziedziczyła po nim dom, Quinnowi zaś dostało się w posiadanie słynne ranczo Sinclairów, Początkowo nie przywiązywał wagi do tego spadku. Jako bardzo młody chłopak porzucił ranczo i rodzinę, by szukać szczęścia na morzu. Zaciągnął się do marynarki Stanów Zjednoczonych, gdzie spędził piętnaście lat służąc w oddziale komandosów morskich, popularnie zwanych fokami. Mając zaledwie podstawowe wykształcenie zaczął, tak jak jego pradziadek Josiah, od stopnia majtka. Wkrótce jednak ambicja, poparta silną wolą, utorowała przed nim drogę do stopni oficerskich. Niestety, głupi błąd zaprzepaścił jego karierę i Quinn powrócił na ranczo, by leczyć rany.

Z czasem udało mu się zapomnieć o hańbie i upokorzeniu, choć ceną, jaką musiał za to zapłacić, była samotność. Ale nauczył się z tym żyć. Miał czterdzieści jeden lat i był zadowolony z tego, co osiągnął. Drażnił go jedynie ciągły brak pieniędzy, który zmusił ich, by otworzyć dom dla turystów. Miał jednak nadzieję, że pewnego dnia, za cztery, no, może pięć lat uda im się zebrać wystarczająco dużo pieniędzy, by spłacić hipotekę. A wtedy... Wtedy na ranczu Sinclairów znowu zapanuje cisza i błogi spokój, którego tak bardzo mu brakowało.

Poprawił się na twardym fotelu pilota i całą uwagę skupił na prowadzeniu

helikoptera. Im szybciej dotrą na miejsce, tym szybciej będzie mógł wrócić do swoich obowiązków. Było jeszcze tyle do zrobienia... Na sąsiednim fotelu Anne kurczowo zacisnęła dłonie na oparciach. Zerknęła na zegarek. Jeszcze tylko dziesięć minut i będą na miejscu. Dzięki Bogu! Od huku śmigieł bolała ją głowa. Ilekroć spoglądała w dół, strach ścisnął jej gardło. Siedzący obok niej, wciśnięty w ciasny fotelik Quinn Sinclair nerwowo uderzał stopą o podłogę.

Anne wzrokiem profesjonalisty oceniła zgrabną sylwetkę. Szeroką klatkę piersiową, płaski brzuch, opięte wypłowiałymi dżinsami silne, muskularne uda. Z twarzą ukrytą za okularami nawigatora prowadził swoją maszynę z brawurową pewnością kogoś, kto spędził w powietrzu wiele długich godzin. Samotnik – pomyślała. Na pewno najlepiej czuje się w swoim własnym towarzystwie. Nawet nie stara się, by inni go polubili. Wcale mu na tym nie zależy. Zresztą, kto powiedział, że muszą się zaprzyjaźnić. Helikopter zakołysał się.

– Och! – Z ust Anne wyrwał się cichy okrzyk przestrawu.

Quinn obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Wspaniały widok – zdobyła się na blady uśmiech.

– Widzisz ten krater? Tam właśnie mieszka Pele.

Dziewczyna zerknęła we wskazanym kierunku. Zacisnęła zęby. Choć czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, za nic nie pokazałaby po sobie, że się boi.

– Pele to bogini ognia, prawda? – spytała, przenosząc wzrok na twarz mężczyzny.

– Tak – potakująco kiwnął głową Quinn. – Zgodnie z legendą, Pele, posługując się długim kijem, zrobiła na każdej z podległych jej wysp głębokie dziury w ziemi i nappełniła je ogniem. Ale jej starsza siostra, Na Maka O Kaha'i, powodowana zazdrością, zalała je wodą, która ugasiła ogień.

– No proszę! – Anne zdobyła się na blady uśmiech. – Odwieczna rywalizacja pomiędzy rodzeństwem. A więc bogowie pod tym względem nie różnią się od zwykłych śmiertelników.

Mężczyzna pytająco uniósł brwi.

– Domyślam się, że ty również masz siostrę.

– Nawet cztery. Jestem najstarsza z rodzeństwa. Wychowałam się na farmie w Missouri. Biedny tata każdy zarobiony grosz wydawał na nasze sukienki i buciki. Firmy produkujące ubiory szkolne wynajmowały nas do reklamowania swoich wyrobów.

– Czy to właśnie wtedy postanowiłaś zostać modelką?

– T-tak – zająknęła się Anne. Nienawidziła kłamstwa. Poczuła, jak na jej policzki wypełza ciemny rumieniec. Miała nadzieję, że Quinn tego nie zauważy. Odwróciła głowę i popatrzyła w dół. Schodzili do lądowania. Wszystko będzie dobrze – powtarzała sobie w duchu. – Jeśli się nie poruszę, wszystko pójdzie dobrze. Nerwowo zacisnęła palce na oparciach fotela.

Quinn uważnym spojrzeniem obrzucił pobladłą twarzyczkę. Wiedział, że dziewczyna się boi, choć bardzo stara się tego nie okazywać. Nagle zapragnął objąć ją i przytulić, zapewnić, że absolutnie nic jej nie grozi. Stop! Nie wolno ci się temu poddawać – ostrzegł go jakiś wewnętrzny głos. To tylko gra. Już raz dał się nabrać i o mało go to nie zniszczyło.

– Jesteśmy na miejscu – rzucił. – Po twojej prawej stronie widać dom.

Anne zmusiła się, by spojrzeć we wskazanym kierunku. Wśród zielonej gęstwiny w dole prześwitywała jasna plama. Dolinę otaczała zwarta ściana gór. Franklyn opisał jej to miejsce jako jeden z nielicznych już dziś dziewiczych zakątków wyspy. Mieszkańcy okolicznych wiosek nadal posługiwali się odziedziczonym po przodkach językiem, a życie płynęło tu wolno i spokojnie, dyktowane rytmem przyrody. Czas wyznaczało położenie słońca, a nie wskazówki zegara. Trudno wyobrazić sobie bezpieczniejsze schronienie – powiedział.

Bezpieczne, czy nie, i tak zdecydowanie lepsze od ponurego domu w Maryland, gdzie przebywała po wyjściu ze szpitala. Ciasne pokoiki i wysokie parkany doprowadziły ją nieomal do obłądu. Kiedy zagroziła, że sama poszuka sobie innego schronienia, Franklyn zaproponował ranczo na Hawajach.

Wstrzymała oddech. Niepotrzebnie. Lądowanie było bezbłędne. Quinn wyłączył silnik. Czekali, aż śmigła maszyny przestaną się obracać. Anne powoli rozprostowała zaciśnięte na poręczach fotela palce i wyrzała przez okno. W ich stronę zbliżał się pomalowany na żółto wózek golfowy prowadzony przez młodego, ciemnowłosego mężczyznę w kolorowej koszuli i białych szortach.

Quinn zdjął z uszu ochraniacze i powiesił je na oparciu fotela, gestem dłoni wskazując Anne, by zrobiła to samo.

– Ron zabierze cię do domu i pokaże ci twój pokój.

Ron? Na samą myśl o jeszcze jednej nieznanym twarzy, zrobiło jej się słabo. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy?!

– Myślałam, że ty się wszystkim zajmiesz – wykrztusiła. – Ed mówił...

Mężczyzna westchnął ciężko.

– No cóż, panno Oliver, skoro Ed tak powiedział... Nie chciałbym, żeby wyjechała pani stąd rozczarowana. – W głosie mężczyzny pojawiła się leciutka drwina, ale Anne była zbyt zmęczona, by zwracać uwagę na takie drobiazgi.

Quinn podniósł się z fotela, rozsunął drzwi helikoptera i zgrabnie zeskoczył na ziemię. Anne ruszyła za nim. Ujęła wyciągniętą w jej stronę pomocną dłoń. W tej samej chwili świat nagle zawirował jej przed oczami. Betonowy chodnik dziwnym sposobem znalazł się tuż przy jej twarzy. Poczowała silne uderzenie, ktoś krzyknął, a potem była już tylko ciemność.

Leżała na łóżku. Wiedziała, że nie jest to jej własne łóżko. Materac był zbyt miękki. Powietrze też miało jakiś inny zapach niż w jej rodzinnym St. Louis.

– Lepiej wezwij lekarza, Meg. Ciągle nie odzyskuje przytomności. To już

stanowczo zbyt długo trwa.

Ten niski, lekko zachrypnięty głos wydawał się jej znajomy. Z trudem rozchyliła powieki. No tak! Sinclair. Przystojny kowboj o smutnych oczach.

– Pamiętasz, co powiedział Eddie, kiedy do niego dzwoniłeś? – odpowiedział mu cichy, kobiecy głos. – To wyczerpanie nerwowe. Właśnie dlatego tu jest. Żeby odpocząć.

W przyćmionym świetle lampki nocnej oczom Anne ukazała się znajoma barczysta sylwetka Quinna Sinclaira. Towarzyszyła mu wysoka, szczupła kobieta. Siostra? Na to wyglądało. Odetchnęła z ulgą. Stopniowo odzyskiwała czucie w palcach, dłoniach, stopach...

– Dlaczego, u licha, nie powiedział mi tego na samym początku? – zżymał się mężczyzna. – Napędziła mi niemałego stracha, kiedy tak ni z tego, ni z owego, runęła na ziemię. Kto mógł przypuszczać, że zemdleje.

– Jest coś, co powinien pan wiedzieć, panie Quinn – obruszyła się Anne. – Kobiety z rodziny Oliverów nigdy nie mdleją.

– Taak. Właśnie przed chwilą mieliśmy tego dowód – zadrwił.

– Proszę nie zwracać uwagi na mojego brata – wtrąciła pośpiesznie kobieta, pochylając się nad łóżkiem Anne. – Quinn nie cierpi sytuacji, w których czuje się całkowicie bezradny, a kiedy tak niespodziewanie upadła pani na ziemię, zupełnie nie wiedział, co robić.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– A jak myślisz, kto ją tutaj przyniósł, skoro rzekomo byłem taki bezradny? – obraził się.

– Jestem Margaret Sinclair. Dla przyjaciół, Meg – uśmiechnęła się kobieta. Miała takie same oczy jak brat.

– Miło mi powitać cię w naszych skromnych progach. Eddie Franklyn to stary przyjaciel rodziny. Cieszymy się, że możemy coś zrobić dla jego przyjaciół.

Anna poczuła, że znowu się rumieni. Przekłęte kłamstwa. Z trudem przełknęła ślinę przez zaciśnięte gardło.

– Przepraszam, że narobiłam tyle kłopotu – wyjąkała. Unosząc się lekko na łokciach, usiadła na łóżku. Koc, którym była przykryta, opadł, odsłaniając rozpiętą bluzkę, spod której wyglądał koronkowy biustonosz. Ukradkiem zerknęła na twarz Quinna. Nie miała wątpliwości, że też to zauważył. Pośpiesznie odwróciła wzrok.

Jej zmieszanie nie umknęło uwagi mężczyzny.

– To Meg zrobiła, nie ja – mruknął cicho. – Jeśli cię to interesuje.

Anne sięgnęła do dekoltu. Powoli, nie spiesząc się, zapięła guziki bluzeczki.

Meg popatrzyła na jej bladą twarz.

– Jak się teraz czujesz? Lepiej? Nie jesteś głodna? A może się czegoś napijesz? Co powiesz na szklaneczkę brandy?

Anne przecząco pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Nic mi nie potrzeba poza odrobiną snu. Wszystko przez tę zmianę czasu. – Zmusiła się do uśmiechu.

Margaret Sinclair zmarszczyła brwi. Miała okrągłą, sympatyczną twarz o życzliwym spojrzeniu i ujmującym uśmiechu. – Jesteś pewna? – nalegała. – Może chociaż zrobię ci jakąś kanapkę?

– Daj jej spokój, Meg – wtrącił Quinn. – Anne jest dorosła. Jeśli mówi, że nic jej nie potrzeba, to chyba wie najlepiej. Prawda, panno Oliver? – popatrzył w zielone oczy.

Ciągle jeszcze czuł całym sobą przyjemną miękkość jej kobiecego ciała, kiedy niósł ją zemdloną do domu. Na tak wysoką osobkę była zaskakująco lekka.

Anne zarumieniła się. Pod baczным spojrzeniem ciemnych oczu mężczyzny czuła się coraz bardziej nieswojo.

– Racja, panie Sinclair – zgodziła się. – I... dziękuję za troskę i opiekę. O ile, oczywiście, zemdlałam, choć, jak powiedziałam, jest to absolutnie niemożliwe.

W ciemnych oczach błysnęły wesołe iskierki. Trwało to zaledwie ułamek sekundy, ale wprawne oko dziewczyny wychwyciło tę oznakę humoru. To właśnie dzięki umiejętności dostrzegania najdrobniejszych szczegółów prace Anne Oliver cieszyły się takim uznaniem. A więc jednak kowboj o smutnych oczach potrafi się śmiać. Ciekawe tylko, dlaczego robi to tak rzadko?

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, wystarczy zawołać. Jestem tuż za ścianą. – Kiwnął głową w stronę masywnych, drewnianych drzwi. W zamku nie było klucza.

– Za ścianą? – powtórzyła zaskoczona. Zmęczenie coraz bardziej dawało się jej we znaki, odbierając zdolność logicznego myślenia.

Na przystojnej twarzy Quinna pojawił się leciutki uśmieszek.

– Tak. Czy Eddie ci nie wspominał? Goście zajmują przeciwną stronę domu. W tym skrzydle jesteśmy zupełnie sami – dodał z ręką na kłamce, po czym odwrócił się i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wystrzał z pistoletu. Znaleźli ją! Tym razem już im nie uciekniesz. Umrze!

Anne gwałtownie usiadła na łóżku. Serce biło jej jak oszalałe. Oślepiło ją ostre światło. Odrzuciła na bok koc i pośpiesznie zsunęła się z łóżka. Łokciem uderzyła o twarde deski podłogi. Krzyknęła, po czym zamarła w bezruchu z twarzą przytuloną do zaścielającej podłogę kłującej maty. Bała się poruszyć. Bała się nawet oddychać. Ostrożnie uniosła głowę. Rozejrzała się dookoła.

Duży, przestronny pokój ze staroświeckimi meblami. Gdzie ja, u licha, jestem? – pomyślała. Wpadające do środka przez szparę w zasłonie promienie porannego słońca przyjemnie grzały jej odsłonięte uda. Za oknem budził się do życia kolejny pogodny dzień. Niebo było czyste i niewinnie błękitne, wewnątrz domu zaś panowała niczym nie zmacona cisza. Nie było zamaskowanych morderców z automatycznymi pistoletami, ani przydzielonych jej do ochrony agentów FBI. W pokoju nie było nikogo poza nią samą.

A więc to tylko zły sen – odetchnęła z ulgą. I wtedy znowu usłyszała ten dźwięk. Tylko że teraz wiedziała już, że to nie strzały. Metaliczny, ostry dźwięk uderzających o bruk końskich kopyt. Nie ma co, Anne! Naprawdę świetnie! – zamruczała za złością, podnosząc się z podłogi. Jeśli już teraz jesteś jednym kłębkim nerwów, to co będzie za dwa miesiące?!

Nim opuściła szpital, lekarze proponowali jej, by przeszła na środki uspokajające, które pomogłyby jej przetrzymać najtrudniejsze chwile. Ostrzegali, że należy spodziewać się koszmarów sennych, omdleń, depresji. Nazwali to szokiem powypadkowym. Ona jednak nie zgodziła się na żadne środki. Postanowiła, że sama musi poradzić sobie z tym wszystkim.

Podeszła do okna i otworzyła je na całą szerokość. Powitał ją śpiew ptaków i szelest wiatru poruszającego liście palm kokosowych. Nie opodal w zagrodzie pasło się bydło, na dziedzińcu brykały konie. To właśnie im zawdzięczała to nieprzyjemne przebudzenie. W powietrzu unosił się ostry zapach kwitnącego imbiru. Lekki wietrzyk przyjemnie chłodził jej odkryte ramiona. Na trawie błyszczały kropelki rosy.

Anne odetchnęła głęboko, napawając się urokiem wiosennego poranka. Żyję! – pomyślała z radością. Jestem cała i zdrowa i jest taki śliczny, słoneczny dzień. Trzeba zapomnieć o przeszłości i cieszyć się każdą chwilą.

Musiałoby być jeszcze bardzo wcześnie. Szczyty gór osłaniała gęsta mgła. Można by zrobić świetne czarno-białe zdjęcie – pomyślała. Sceneria wokół domu była natomiast zdecydowanie bardziej kolorowa. Kwiaty, ptaki, ubrania robotników. W myślach wybrała kadr. Na pierwszym planie siodłający konie ludzie. Film o wysokiej czułości i teleobiektyw. Hawajscy kowboje. Silni, wysportowani młodzi mężczyźni, którzy wyglądali niby żywcem wyjęci z

ilustracji do książek Zane Greya, ulubionej lektury jej dzieciństwa. Spalone słońcem twarze stanowiły mieszaninę wszystkich ras. Niełatwo byłoby określić ich pochodzenie. Na wyspach nazywano ich *paniolos*. Z przewodnika Anne dowiedziała się, że nazwa ta pochodzi od pierwszych hiszpańskich osadników. Pierwsze stada bydła sprowadzono z Teksasu. Był to dar kapitana George'a Vancouvera dla polinezyjskiego króla Kamehameha.

Typowo hawajskie! – pomyślała. Angielski kapitan, polinezyjski król i hiszpańscy farmerzy. Mieszanka kultur, języków, zwyczajów. I tak jest do dziś. Świetny materiał na reportaż, a właściwie fotoreportaż. Jej specjalność. Nie tracąc czasu pospieszyła do ustawionych pod ścianą bagaży. Wczoraj wieczorem, kiedy Quinn i Meg wrócili do swoich zajęć, wypakowała tylko parę niezbędnych rzeczy, koszulę nocną i szczoteczkę do zębów, po czym nie zwlekając położyła się spać. Cała reszta spoczywała nadal w dwóch pękatych torbach.

Drżącymi z niecierpliwości palcami rozsunęła zamek większej z toreb i wyjęła jedyny aparat fotograficzny, jaki Franklyn pozwolił jej zabrać ze sobą w tę podróż, starego, amatorskiego Nikona. Kupiła go będąc jeszcze w szkole, za pieniądze zarobione za opiekowanie się dziećmi sąsiadów. Nikon miał chyba więcej lat niż ona sama, ale był jej najlepszym przyjacielem. Czasem odnosiła wrażenie, że jedynym, któremu mogła zaufać. Był jakby częścią niej samej. Obiektyw aparatu był urządzeniem znacznie czulszym niż ludzkie oko, a oglądany przezeń świat wydawał się prostszy, lepszy.

Z bocznej kieszeni torby wyjęła teleobiektyw i założyła go na aparat. Zawiesiła aparat na szyi i wróciła na swoje stanowisko w oknie. Wiejący od oceanu wietrzyk zmierzył jej włosy. Uniosła dłoń, by odgarnąć z oczu nieposłuszne kosmyki, i wtedy właśnie go ujrzała. Dumnie wyprostowany zbliżał się ostrym galopem na dużym gniadym koniu. Nasunięty nisko na czoło kapelusz zasłaniał mu twarz, ale Anne poznałaby go na końcu świata. Był to Quinn Sinclair.

Cofnęła się gwałtownie w obawie, by jej nie zobaczył. Wcale nie dlatego, że się go bała. Nie była też przesadnie wstydliva, ale za cały strój miała zaledwie cienką nocną koszulkę, a on był przecież mężczyzną. I do tego wyjątkowo pociągającym mężczyzną – przyznała niechętnie. Z pewnością samotne turystki nie dawały mu spokoju. W dzisiejszych czasach wakacyjny flirt stał się jakby nieodłączną częścią letniego wypoczynku.

Oczywiście dotyczyło to innych kobiet. Ona sama na pewno sobie na to nie pozwoli – postanowiła twardo. A już z pewnością nie z mężczyzną, który sprawiał wrażenie równie niebezpiecznego i nieokiełzanego jak wierzchowiec, którego dosiadał. Zresztą teraz miała inne sprawy na głowie. Naprawdę zależało jej teraz tylko na tym, żeby dożyć do kwietnia.

– Hej, szefie! – zawołał jeden z robotników, kiedy Quinn zbliżył się do stajni. – Ma szef chwilę czasu?

Anne nie dosłyszała odpowiedzi, ale musiał to być jakiś żart, bo mężczyźni roześmieli się, po czym jeden z nich uchylił furtkę padoku, wpuszczając jeźdźca i zwierzę do środka.

Quinn zręcznie zeskoczył z konia. Zsunął z dłoni grube, skórzane rękawice i zatknął je za pasek spodni. Inny z robotników ujął konia za uzdę i odprowadził go do stajni. Pozostali zaś otoczyli Sinclaira ciasnym kołem, gestykułując z ożywieniem. Quinn zdjął kapelusz. Rękawem koszuli otarł pot z czoła.

Ukryta za framugą okna, Anne z zaciekawieniem przyglądała się tej scenie. Nawet w otoczeniu innych mężczyzn Quinn przyciągał uwagę. Był jakiś inny. Samotnik. Ciekawe, czy był taki z natury, czy to życie uczyniło go takim odludkiem? A może wynikało to po prostu z zarozumiałości?

Nie wysuwając się ze swojej kryjówki, uniosła aparat. Spojrzeniem profesjonalisty oceniła odległość i wybrała kadr. W tej samej sekundzie, kiedy jej palec dotknął przycisku migawki, Quinn odwrócił głowę. Patrzył teraz wprost w obiektyw. Mimo, że dzieliło ich dobre kilkadziesiąt metrów, szkła teleobiektywu sprawiły, że Anne wyraźnie ujrzała, jak czoło mężczyzny marszczy się w gniewnym grymasie. Zadrzała. Dreszczyk podniecenia przeleciał jej po plecach. Pośpiesznie cofnęła się w głąb pokoju. Miała to, na czym jej zależało, zdjęcie Quinna Sinclaira, i w zupełności jej to wystarczało.

Zegar w holu właśnie wybił siódmą, kiedy Anne zeszła na dół. Miała na sobie swój ulubiony strój, luźną koszulę i białe bryczesy. W całym domu panowała cisza. Pokrywające podłogę grube, słomiane maty skutecznie tłumili jej kroki. Hol był pusty. W recepcji również nie było nikogo. Przez uchylone okna słychać było śpiew ptaków i wesołe rżenie koni.

Kierując się aromatem świeżo zaparzonej kawy, Anne odnalazła jadalnię. Przestronny pokój tonął w zieleni. Stoły i krzesła były puste. Ale nie była tu sama. Przy antycznym kredensie, na wprost wejścia Quinn Sinclair właśnie nalewał sobie kawę. Kątem oka dostrzegł wchodzącą o ułamek sekundy wcześniej, niż Anne zdała sobie sprawę z jego obecności. Zawahała się, nie wiedząc, iść dalej, czy się wycofać. Doleciał go delikatny zapach jej perfum. Jasne włosy miała zaplecione w warkocz, który przytrzymała kolorowa kokarda. Poczul nieodpartą ochotę, by pociągnąć za końce wstążki i uwolnić złote loki. Patrząc, jak rozsypują się na jej ramionach, niby wspaniała, żywa kurtyna. A potem zatopił palce w jedwabistych splotach...

– To jest jadalnia, prawda? – spytała niepewnie Anne. Po raz pierwszy zauważył w jej głosie lekki obcy akcent.

Chyba południowy. Ale na pewno nie nowojorski.

– Owszem, tylko trochę się pośpieszyłaś – odparł. – Śniadanie podajemy dopiero od ósmej. Goście lubią sobie dłużej pospać. Zresztą, mają prawo. Są przecież na wakacjach.

– Nie jestem głodna, ale oddałabym wszystko za odrobinę tej smakowicie

pachnącej kawy – uśmiechnęła się Anne, obrzucając wymownym spojrzeniem trzymaną przez niego filiżankę.

Quinn odstawił swoją kawę. Sięgnął po drugą filiżankę. Nalał do niej kawy.

– Czarna, bez cukru – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak. Skąd wiedziałeś? – zdziwiła się. Głos drżał jej lekko.

– Wyglądasz mi na osobę, która bierze życie takim, jakie ono jest.

– No, no... Psychoanalityk w przebraniu kowboja – roześmiała się nerwowo.

– Skądże znowu! – podchwycił żartobliwą nutkę mężczyzna. – Ja jestem prosty chłopak ze wsi.

– Akurat!

– Nie kłamie. Dosiadałem konia, nim nauczyłem się chodzić.

– W to mogę uwierzyć. Masz nogi kawalerzysty.

– Nieprawda! – obraził się.

Anne pełnym podziwu spojrzeniem obrzuciła zgrabną sylwetkę.

– Jestem pewna, że gdyby udało ci się wyprostować te krzywe kolana, byłbyś o ładnych parę centymetrów wyższy.

– Ach, te mieszcuchy! – obruszył się Quinn. – Co wy tam wiecie!

Anne zauważyła, że kiedy tak się z nią droczył, wyglądał jakoś inaczej. Młódziej. Radośniej. Domyślała się, że szef pracował dużo ciężiej od swoich robotników. Musiał wstać jeszcze przed wschodem słońca – pomyślała.

– Przyłączysz się do mnie? – spytał, wskazując stolik pod oknem.

– Z przyjemnością. Dziękuję. To znaczy... *mahalo!*

– Anne popisała się swoją znajomością miejscowego języka. Dawno już nie czuła się tak wspaniale. Tak spokojna i odprężona. No właśnie, spokój. Cóż za cudowne uczucie!

Quinn zaniósł obie filiżanki do stolika, po czym stanął obok, czekając na dziewczynę. Z podziwem przyglądał się, jak płynie przez pokój. Co za gracia! Ma klasę – pomyślał. Nic dziwnego, że płacą jej za to grube pieniądze. Choć strój, jaki miała na sobie, nie należał może do najbardziej odpowiednich na upalny klimat wysp, na niej prezentował się znakomicie. Żółta, powiewna koszula podkreślała złote cętki kocich oczu. Luźne spodnie zamiast ukrywać, jeszcze bardziej uwydatniały kobiecą linię jej bioder.

Anne podeszła do stolika. Ku jej zaskoczeniu, Quinn odsunął dla niej krzesło, poczekał, aż usadowi się wygodnie i dopiero wtedy zajął swoje miejsce.

No, no, no – Anne z niedowierzaniem pokręciła głową. Skąd u prostego kowboja takie maniery?!

– Wyglądasz dziś dużo lepiej – odezwał się mężczyzna.

– Nie jesteś już taka blada – stwierdził, przyglądając się z bliska jej drobnej twarzy. Na nosie miała kilka piegów. Czyżby ta elegancka dama lubiła w

przeszłości łązić po drzewach i kąpać się w strumieniu?!

Anne obrzuciła zdziwionym spojrzeniem przystojną twarz mężczyzny.

– To nie zabrzmiało jak komplement Quinn obojętnie wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że nie mam wprawy w prawieniu komplementów.

– Nie masz wprawy? A może wcale nie chcesz jej nabrać?

Zaskoczyła go trafność tego spostrzeżenia.

– Może i tak – przyznał niechętnie.

– Dlaczego?

Quinn zawahał się. Nie był przyzwyczajony do takiej bezpośredniości. Zwłaszcza ze strony kobiet. Nie budziło to jego zaufania. Wręcz przeciwnie.

– Nie mam czasu.

Popatrzyła na niego uważnie. W jasnym świetle słonecznego poranka jego oczy były bardziej brązowe niż czarne, otoczone złotą obwódką. Już kiedyś widziała takie oczy. U leoparda, którego tropiła przez długie tygodnie, nim wreszcie udało jej się go sfotografować. To wielkie i niebezpieczne zwierzę z sobie tylko znanych powodów tolerowało jej obecność, choć do końca nie potrafiła pozyskać jego zaufania. Kiedy pewnego dnia leopard pozwolił jej zbliżyć się do siebie, nagle zupełnie nieoczekiwanie zmienił zdanie, pogruchotał jej najlepszy aparat i o mało nie zrobił krzywdy jej samej.

Wolno pokręciła głową.

– Nie sądzę, aby brak czasu był prawdziwym powodem.

– Nie? A co, w takim razie?

Popijając aromatyczny napój myślała o zagniewanych ciemnych oczach, które tego ranka ujrzała w obiektywie swego starego Nikona. Prosty nos, nieco wystająca dolna szczęka, pełne, zmysłowe usta. Według panujących kanonów mody ta twarz nie była piękna. Zbyt ostra, zbyt surowa. Z punktu widzenia artysty była prawdziwym skarbem. Spełnione marzenie malarza. Albo... fotografa.

Quinn Sinclair był prawdziwą zagadką. Na pozór oschły i gburowaty, przy bliższym poznaniu zaś wrażliwy i... tak, chyba nieśmiały. Pociągał ją bardziej, niż chciała przyznać.

– Podobają ci się kobiety, ale im nie ufasz – stwierdziła, odstawiając pustą filiżankę. – Mnie również nie ufasz.

Już dawno nikt nie rozszyfrował go tak szybko. Quinn czuł się coraz bardziej nieswojo.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Kobięca intuicja – uśmiechnęła się Anne. Plus dwadzieścia lat spędzonych na studiowaniu ludzkich twarzy – dodała w duchu.

Mężczyzna nerwowo przecesał palcami ciemną czuprynę. Poprawił się na krześle, wyciągając przed siebie długie nogi w zakurzonych dżinsach. Anne przyglądała się mu uważnie, uśmiechając się leciutko pod nosem. Miała usta wprost stworzone do całowania.

Odchrząknął.

– Eddie mówił, że jesteś modelką.

Mnie też powiedział to samo – chciała odpowiedzieć. Ugryzła się w język. Sprawa była zbyt poważna, by sobie z tego żartować. Stawką było jej życie.

– Tak. Jestem modelką.

– Mieszkasz w Nowym Jorku? Anne potakująco kiwnęła głową.

– Rzadko jestem w domu. Większość czasu zajmują mi podróże.

Odetchnęła z ulgą. To przynajmniej było prawdą.

Quinn obracał w palcach pustą filiżankę. Zwykle poranną kawę wypijał w kuchni, w towarzystwie siostry i ciotki Genoi. Porcelanowa zastawa i haftowane obrusiki nie były w jego stylu.

– Byłaś już wcześniej na Hawajach? – spytał, by pokryć zmieszanie.

– Tak. Jakieś cztery lata temu. Ale tylko na Oahu.

– Na zdjęciach?

Anne popatrzyła na niego uważnie. A więc praca modelek nie jest mu tak zupełnie obca. A przynajmniej zna terminologię. Ciekawe.

– Tak. Na zdjęciach. To był chyba lipiec.

– Stroje kąpielowe, co? – uśmiechnął się znacząco. Robiło mu się gorąco na samą myśl o dwóch skąpych kawałkach cienkiej tkaniny okrywających jej ciało.

– Tak. Stroje – przytaknęła. To również się zgadzało. Przez większą część dnia miała na sobie strój do nurkowania. Spędziła dwa tygodnie w wodzie, fotografując przepiękną florę oceaniczną porastającą rafy. Za jedno z tych zdjęć otrzymała nawet prestiżową w środowisku nagrodę.

– Pewno zatrzymałaś się w Royal Hawaiian.

A jakże. Gdzieżby indziej miała zamieszkiwać wzięta nowojorska modelka – pomyślała Anne, przypominając sobie ciasny pokoik w domu swego instruktora scuby, który na dodatek dzieliła z jego córkami-bliźniaczkami. Były to zresztą bardzo miłe dziewczęta. Na każde święta wymieniała z nimi kartki z pozdrowieniami.

– Jasne – przytaknęła.

– Przyjemne życie, co? Oczywiście, jeśli ktoś to lubi.

– Nie mam wielkiego wyboru.

Popatrzył na nią zaskoczony. Anne odwróciła głowę, z udanym zainteresowaniem rozglądając się po sali.

– Jak tu ładnie – zauważyła. – I tak... przytulnie i domowo.

Mężczyzna potakująco kiwnął głową.

– Kiedyś była tu oranżeria. Ulubiony pokój mojej matki.

– Czy to Josiah?

Spojrzenie Quinna powędrowało na zawieszony między oknami olejny portret o imponujących rozmiarach. Z obrazu spoglądały na niego surowe oczy

Josiaha Sinclaira.

– Tak. Mój znamienity przodek we własnej osobie.

Anne uważnym spojrzeniem obrzuciła starszego mężczyznę. Ponura, kostyczna twarz, zaciśnięte usta, ciemne, chłodne oczy.

– Jesteś do niego podobny, wiesz? Macie takie same oczy.

Quinn patrzył na ten obraz codziennie od wielu, wielu lat, ale tak naprawdę nigdy dotąd nie przyjrzał mu się uważniej. Portret powstał, kiedy Josiah był już dobrze po sześćdziesiątce.

Złośliwy staruch! – pomyślał, patrząc z niechęcią na obraz. Równie twardy i nieustępliwy jak wzgórze w Maine, skąd pochodził. Żadna kobieta nie wyszłaby za niego z własnej nieprzymuszonej woli. Przeniósł wzrok na siedzącą obok Anne. Emanował z niej spokój i życzliwość, jakiej nigdy nie spodziewałby się po osobie, która zarabiała na życie jako modelka.

– Rodzinna legenda głosi, że Josiah uciekł ze statku, ponieważ groziła mu śmierć za kradzież rumu z zapasów samego kapitana. Ponoć zabrał ze sobą beczkę tego smakołyku i przehandlował królowi Kamehamehowi w zamian za jedną z jego pasierbic.

Anne roześmiała się rozbawiona.

– To okropne. Wstydzilibyś się, Josiah. – Żartobliwie pogroziła palcem starcowi z portretu. – Mam nadzieję, że dała ci się we znaki. Słyszałam, że stary Josiah miał niemałą gromadkę dzieci. – Odwróciła się w stronę Quinna.

– Jedenaścioro.

– No proszę, proszę – zamruczała z podziwem. – Jak długo on i córka króla byli małżeństwem?

Mężczyzna pytająco uniósł brwi.

– A kto powiedział, że w ogóle brali ślub?

– Czy to dlatego jesteś jeszcze kawalerem? – zażartowała. – Rozumiem.

Taka tradycja rodzinna.

Z twarzy Quinna zniknęło rozbawienie.

– Jestem rozwiedziony.

– O! Przepraszam. Chyba strzeliłam gafę.

– To stara historia.

– Przepraszam, że tak wyszło. Jestem trochę wścibska, ale to dlatego, że tak bardzo interesują mnie ludzie.

Quinn obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Czyżby tak łatwo można było go rozszyfrować? Czy Anne wyczuwała gorycz, jaką pozostawił w nim rozwód? Pewnie tak. Miała denerwującą umiejętność zbijania człowieka z tropu, a kiedy był już zupełnie skołowany, wyciągania z niego różnych rzeczy, które wolałby zachować tylko dla siebie.

Ta kobieta była dla niego prawdziwą zagadką. Na pozór chłodna i obojętna, a w rzeczywistości delikatna i wrażliwa. No a teraz jeszcze

współczująca i wyrozumiała. Niebezpieczna kombinacja. Już kiedyś dał się na to nabrać. Ciągle miał złudzenia, dopóki pewnego dnia nie odkrył, że to tylko maska, gra.

Ciekawe, co by powiedziała, gdyby dowiedziała się, że brak zaufania, o który go oskarżyła, to dzieło kobiety takiej jak ona. Liz też była modelką. I też przyjechała z Nowego Jorku.

Wyciągnął rękę i położył ją na opartej o stół dłoni Anne. Miała długie, szczupłe palce o obciętych krótko paznokciach. Trochę to dziwne u modelki – pomyślał.

– Zrobiłaś mi dziś zdjęcie, prawda? – spytał, przenosząc wzrok na jej twarz.

Jaki kolor mają jego oczy? – zastanawiała się Anne.

Szare? A może czarno-brązowe? Piwne? Nie. Zbyt wiele kolorów na raz. Ale dlaczego są takie smutne?

– Owszem. Jeśli chcesz, przyślę ci odbitkę, jak tylko je... jak tylko oddam je do wywołania – zająknęła się. Cholera! O mały włos się nie wygadała.

Mężczyzna nie spuszczał wzroku z twarzy Anne. Ona też patrzyła mu prosto w oczy. Już samo to pogłębiało jego nieufność. Doświadczenie podpowiadało mu, że kiedy kobieta tak patrzy, na pewno ma coś do ukrycia. Delikatnie przeciągnął kciukiem po wnętrzu jej dłoni.

– Dlaczego zrobiłaś to zdjęcie?

Anne zadrżała. Jego palce były szorstkie i gorące.

– Masz ciekawą twarz. Jak Josiah.

Mężczyzna nie przestawał bawić się jej ręką. Wolno przesuwając palcami po grzbiecie dłoni.

– Czy zawsze jesteś taka... bezpośrednia w rozmowach z mężczyznami?

– Nie tylko z mężczyznami. Z każdym. Życie jest o wiele prostsze, kiedy ludzie nie próbują udawać.

Quinn poczuł, jak budzi się w nim tęsknota za czymś, o czym dawno myślał, że umarło, odeszło w zapomnienie.

– To dziwne. Czyż nie tak właśnie zarabiasz na życie? – uśmiechnął się drwiąco. – Wykorzystując sex appeal i urok osobisty, by po zawyżonych cenach sprzedawać byle szmatki biednym głupkom, którzy nawet nie zdają sobie sprawy, że są nabijani w butelkę.

Anne zacisnęła zęby. Sex appeal! Też coś! Nigdy nie wykorzystywała swojej płci ani tego, co nazywa się urokiem osobistym, by cokolwiek osiągnąć. Ani w pracy, ani tym bardziej w życiu osobistym. Jak on śmiał! Tylko spokojnie – nakazała sobie w duchu. Pamiętaj, kim jesteś. Prawdziwa dama nigdy nie wpada w złość i nie rzuca porcelanowymi filiżankami. Nawet jeśli ma do czynienia z nieokrzesanym gburem, który ją obraził.

Wyszarpnęła dłoń z rąk mężczyzny. Wolno podniosła się od stołu.

– Dziękuję za kawę, panie Sinclair. Do widzenia.

To powiedziawszy, odwróciła się i z dumnie uniesioną głową opuściła jadalnię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Quinn nawet już nie pamiętał, kiedy ostami raz zdarzyło mu się wstać po wschodzie słońca. Pewno ładnych parę lat wstecz, po jednej z tych pijackich eskapad, na które wyruszał, kiedy nie widział innego sposobu, by choć na krótką chwilę zapomnieć o bólu i hańbie.

Ruszył w stronę kuchni, zawijając po drodze rękawy koszuli. Słońce było już wysoko. Zapowiadał się kolejny upalny dzień. Chłopaki z pewnością zastanawiają się, czy przypadkiem ich szef nie wypił wczoraj o jeden kieliszek za dużo. Żaden z nich nie uwierzyłby w jego kłopoty z bezsennością.

Drzwi do kuchni były zamknięte, ale kiedy się do nich zbliżył, do jego uszu doleciał wysoki, kobiecy śmiech. Ten skądinąd przyjemny odgłos jeszcze bardziej go rozdrażnił. Pchnął gwałtownym ruchem drzwi i wszedł do środka. Powitały go trzy zdziwione twarze. W kuchni były Meg i ciotka Genoa. Nie przypuszczał jednak, że zostanie tu również Anne. Kobiety przekomarzały się wesoło i sprawiały wrażenie, że dobrze im ze sobą. Pierwsza zauważyła go Meg.

– Witaj, braciszku. Najwyższy czas, żebyś wstał. Już zaczynałam się o ciebie niepokoić.

Quinn zmarszczył brwi.

– Zupełnie niepotrzebnie.

– *Aloha!* – pozdrowiła go ciotka Genoa. Jak zawsze miała życzliwy uśmiech dla chłopca, którego wychowała.

Kobiety zajęte były krojeniem ananasów na śniadanie dla gości. Anne pomagała im, czasami podkradając soczyste plasterki. Tego ranka wyglądała wyjątkowo ładnie w czerwonym, jedwabnym kombinezonie. Podwinięte nogawki spodni odsłaniały opalone na złoty brąz zgrabne łydki. Quinn zacisnął zęby. Do tej pory kuchnia była jednym z niewielu miejsc, gdzie goście nie mieli wstępu.

– Dzień dobry! – odburknął.

Jego wzrok napotkał zdziwione spojrzenie Anne.

Instynktownie wyczuła narastający w nim gniew. Mimo że Quinn starał się to ukryć, widziała pociemniałe oczy, zaciśnięte usta. Do tego ta maska chłodnej obojętności.

Przez ostatnie dwa tygodnie udawało jej się nie wchodzić mu w drogę. Właściwie nie było to wcale takie trudne. Właściciel rancza Sinclairów bardzo rzadko pojawiał się wśród gości.

– Tylko w szczególnych przypadkach – zwierzyła się jej Meg. – Widzisz, z tego mojego brata straszny odludek.

Anne doskonale to rozumiała. Ona również lubiła od czasu do czasu побыć sam na sam ze swoimi myślami. Ale lubiła też towarzystwo innych ludzi. W

każdym potrafiła dostrzec coś interesującego.

– Późno się wczoraj położyłeś – zauważyła.

– Tak? – Spojrzał na nią pytającym wzrokiem.

– W twoim pokoju skrzypi podłoga. Słyszałam, jak chodzisz.

Quinn zerknął ukradkiem na usta Anne. Chyba żaden mężczyzna nie potrafiłby się im oprzeć. Poczul, jak oblewa go gorąca fala pożądania.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że masz tak lekki sen. Podszedł do kredensu, wyjął filiżankę i nalał sobie kawy.

– Mamy problem – odezwała się Meg. – Helikopter się zepsuł.

– Kiedy?

Gorąca kawa sparzyła go w język. Zaklął cicho.

– Wczoraj. Zach mi powiedział. Wieczorem. Myślałam, że już śpisz i nie chciałam ci przeszkadzać.

– Wieczorem? O której?

– Po tym, jak się kochaliśmy – zdenerwowała się Meg. – Ale to nie twój interes.

Quinn poczul, jak na policzki wypełza mu ciemny rumieniec. Meg i Zach Hogan byli kochankami od wielu lat. Choć Quinn nie aprobował tego związku, nigdy nie wtrącał się w prywatne życie siostry. Nie lubił jednak, kiedy Meg mówiła o tym tak swobodnie.

– Co się właściwie stało?

– Coś z przewodem paliwowym. Zach musiał zamówić nowy. Powinni przysłać go jutro z Honolulu.

Quinn zmarszczył brwi. Budżet rancza, i tak napięty do granic możliwości, nie przewidywał żadnych dodatkowych wydatków.

– Nie uważasz, że Zach powinien najpierw porozmawiać o tym ze mną? W końcu to moje pieniądze.

– Daj spokój, Quinn – zachnęła się. – Przecież wiesz, że helikopter musi być sprawny. Zapominasz o gościach. Dziś, na przykład, miałam zabrać ich na zwiedzanie Wulkanicznego Parku Narodowego.

– Można przecież wymyślić coś innego.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy, kiedy wszedłeś. Anne zgodziła się poprowadzić coś w rodzaju fotograficznego safari.

– Anne? – Mężczyzna popatrzył na nią zaskoczony. – Jak na kogoś, kto większość życia spędza przed obiektywem aparatu, robisz sama bardzo dużo zdjęć. Połowa moich robotników sterczy godzinami przed lustrem, zamiast przebywać na pastwisku.

Stał oparty o kontuar kredensu i nie spiesząc się popijał kawę. Anne zauważyła, że miał na sobie te same wypłowiałe od słońca dżinsy, a przy koszuli brakowało mu paru guzików. Potrzebna mu kobieta – pomyślała. Ktoś, kto by się nim zajął. Ona sama nie miała na to specjalnej ochoty, chociaż... Quinn Sinclair z

każdym dniem coraz bardziej ją intrygował. Poczula, że się rumieni. Miała nadzieję, że tego nie zauważył.

– Wszystkie modelki znają się trochę na fotografii – wykręciła się od odpowiedzi. – A poza tym, robienie zdjęć to moje hobby. Nie chciałeś się zgodzić, żebym zapłaciła za pobyt na ranchu, więc chciałabym chociaż w ten sposób odwdziaczyć się za to, co dla mnie zrobiliście.

Quinn pomyślał o nie zapłaconych rachunkach, na które ciągle brakowało pieniędzy, i o zaległych alimentach, które nieomal doprowadziły go do bankructwa. Życie nauczyło go jednego: żadna kobieta nie robi nic całkowicie bezinteresownie.

– Jak chcesz – mruknął. – Tylko trzymaj się z daleka od moich chłopaków. Mają ważniejsze rzeczy do roboty niż wdzięczenie się do obiektywu.

– Dziękuję za radę. Będę pamiętała. – Anne skończyła krojenie ananasa i oblizwała z palców słodki, lepki sok.

Spojrzenie mężczyzny zatrzymało się na jej wargach. Nawet kiedy milczała, były pełne obietnic. Słodkich, kłamliwych obietnic, które już raz złamały mu życie. Nagle uświadomił sobie, że wcale nie jest już tego taki pewny. Może Anne była inna?

– No, muszę uciekać. – Skończył kawę, odstawił filiżankę i wyszedł z kuchni. W chwilę potem trzasnęły wejściowe drzwi.

Meg i ciotka Genoa wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– No tak, dzisiaj pierwszy – westchnęła ciężko Meg.

– Że też ten przeklęty helikopter musiał się popsuć właśnie teraz.

– Czy data ma aż takie znaczenie? – zdziwiła się Anne.

– A i owszem. Pierwszego każdego miesiąca Quinn wypisuje czek na alimenty.

– O! Nie wiedziałam, że to się jeszcze praktykuje.

– Jeśli ktoś ma dobrego adwokata, może wiele zdziałać – prychnęła gniewnie ciotka Genoa.

– Udusiłabym to wstrętne babsko gołymi rękami – wycedziła przez zaciśnięte zęby Meg. – Dawniej taka kobieta zostałaby ukamienowana.

Anne dołała sobie kawy.

– Domyślam się, że mówicie o byłej żonie Quinna – powiedziała, starając się nadać swemu głosowi obojętne brzmienie.

– Tak. Ma na imię Liz. Elizabeth Chesterton. Może ją znasz? Jest modelką, tak jak i ty. I przyjaciółką Candy.

Ciotka Genoa sięgnęła po kolejny owoc.

– Bzdura! – mruknęła ze złością. – Nasza Anne jest zupełnie inna. Tamta sprzedawała własną matkę, gdyby ktoś zaproponował jej jakieś pieniądze.

Anne odwróciła głowę. Nie chciała, by kobiety zauważyły, jak się rumieni. Te przeklęte kłamstwa. Jak długo jeszcze?!

– Chesterton... Coś mi się obilo o uszy, ale nie przypominam sobie, żebym ją poznała.

– Nic nie straciłaś. To wstrętna kreatura. – Meg podeszła do lodówki i wyjęła miskę z jajami.

Anne odstawiła pustą filiżankę. Sięgnęła po jajko. Gotowanie nie było może jej najmocniejszą stroną, ale z jajecznicą potrafiła sobie poradzić.

– Dlaczego nie próbował się odwoływać? Może zgodziłyby się przyjąć jakieś jednorazowe... zadośćuczynienie? – spytała, wrzucając skorupki do wiadra.

– Quinn, a raczej jego adwokat próbował absolutnie wszystkiego – uśmiechnęła się gorzko Meg. – Na próżno.

– Nic dziwnego, że Quinn tak nie lubi modelek. – Anne pokiwała głową ze zrozumieniem.

Meg zamarła ze ścierką w powietrzu.

– Dlaczego tak uważasz?

– Kiedyś, w pierwszych dniach mojego pobytu tutaj, powiedział coś takiego... No, niezbyt pochlebnie wyraził się o mojej pracy. Odniosłam wrażenie, że nie ma najlepszej opinii o... modelkach.

– Nie powinnaś brać tego do siebie, Anne. Quinn ciągle jeszcze nie potrafi zapomnieć o... tamtej historii. Czasem boję się, że nigdy mu się to nie uda.

– Wiem – przytaknęła miękko Anne. – Poznałam to po jego oczach. Są takie smutne.

– Krew mnie zalewa, kiedy o tym pomyślę! – wybuchnęła Meg. – Jako dziecko był taki wrażliwy, nieśmiały. Nawet w szkole średniej dziewczęta go onieśmiały. Dlatego właśnie z nikim się nie spotykał. Powinam była wiedzieć, że kiedy już się zakocha, niełatwo będzie mu zapomnieć.

O tak! – przytaknęła w duchu Anne. Musiał naprawdę bardzo kochać tę swoją Liz.

– Jak się poznali?

– Quinn był wtedy w szkole oficerskiej w Newport.

– Najgorsze, co mogło mu się przytrafić – wtrąciła ciotka Genoa. – To wstrętne babsko nawet by na niego nie spojrzęło, gdyby był prostym szeregowcem.

– To pewne – zgodziła się Meg.

Anne wytarła ręce i sięgnęła po filiżankę z kawą.

– Dlaczego właściwie Quinn odszedł z marynarki? Meg zacisnęła usta.

– Nie odszedł. To znaczy, nie z własnej woli. Wyrzucili go. Za niesubordynację! – prychnęła gniewnie.

Ręka Anne drgnęła. Gorący płyn sparzył jej palce.

– Auu! – jęknęła. Odkręciła kran i włożyła rękę pod strumień zimnej wody.
– Za co?

Ciotka Genoa przerwała krojenie owoców i zmierzyła ją uważnym

spojrzeniem.

– Lubisz go, prawda? To nie jest jedynie pusta ciekawość?

Anne zmarszczyła brwi. Czy lubiła Quinna? Trudne pytanie.

– No, nie wiem... Chyba jeszcze za wcześnie na takie deklaracje. Trudno powiedzieć, żebym tak naprawdę go lubiła, ale na pewno nie jest mi obojętny. Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

Starsza kobieta ze smutkiem pokiwała głową.

– Chyba czuję dokładnie to samo – mruknęła, sięgając po kolejny owoc.

Meg zdjęła z półki drucianą trzepaczkę.

– Quinn byłby na nas wściekły, gdyby dowiedział się, że rozmawiamy z tobą o tamtej historii – zaczęła, ubijając energicznie jajka. – Nie lubi wracać do przeszłości. Nigdy o tym nie mówi.

– No cóż, jeśli...

– Nie. Myślę, że powinnaś wiedzieć. Szkoda, że Zach namówił mnie, żebym rzuciła palenie. Zapaliłabym sobie.

– Popatrzyła na Anne z nadzieją.

Dziewczyna przecząco pokręciła głową.

– Niestety, nie palę.

– Mądra dziewczyna – pochwaliła ją Meg. – No trudno, jakoś wytrzymam. A wiec, Quinn i Liz byli małżeństwem od ośmiu lat, kiedy Quinn został wysłany na jedną z tych swoich supertajnych misji. Nie było go przeszło pół roku, a gdy wrócił, okazało się, że jego ukochana żona jest w drugim miesiącu ciąży.

– A to nie było jego dziecko. – Anne ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Oczywiście – skrzywiła się ironicznie Meg. – Liz płakała i przysięgała, że została zgwałcona przez innego oficera. Był nim najlepszy przyjaciel Quinna.

– Nie... – Anne popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Meg skończyła ubijać jaja. Z polki nad piecykiem zdjęła ogromną patelnię i postawiła ją na palniku.

– Quinn był zawsze bardzo porywczy – ciągnęła.

– Z czasem nauczył się nad tym panować, ale tym razem nie potrafił pohamować gniewu. Doszło do ostrej wymiany zdań i Quinn rzucił się na tamtego. O mało go nie zabił. Zaareztowano go pod zarzutem próby morderstwa. Stał przed sądem wojennym.

Anne była zbyt zaszokowana, by wydobyć z siebie choć słowo. Meg uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– To był czysty cyrk. Bronił go nasz wspólny znajomy, Ed Franklyn. Udało mu się przekonać ławę przysięgłych, by odstąpiono od zarzutu zabójstwa. Niestety, ukarano go za niesubordynację i podniesienie ręki na wyższego rangą oficera. Miał szczęście, że nie wysłano go na roboty.

– A... ona? Tamta kobieta?

– Rozwiodła się z nim, kiedy siedział w więzieniu czekając na rozprawę. Okazało się, że zdradzała go już wcześniej, no i w końcu się wydało. Kochanek

wyparł się wszelkiej odpowiedzialności i Liz wpadła w panikę.

– A więc... skłamała? Meg przytaknęła.

– Wiedziała, że Quinn jest bardzo wybuchowy, i wykorzystała to, by zemścić się na kochanku.

– Dobry Boże! – Anne z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Kiedy wrócił na rancho, był zupełnie innym człowiekiem. Ponury, milczący, unikał ludzi. Czasem myślę, że gdyby nie ten kawałek ziemi, nigdy by się z tego nie otrząsnął. Dzięki pracy tutaj na nowo odnalazł sens życia.

Ciotka Genoa potakująco kiwnęła głową.

– Biedaczysko. Na początku było mu naprawdę ciężko. Przez pierwszy rok prawie nie opuszczał rancha. Serce mi się krajało, kiedy na to patrzyłam. Zaczął pić. Na szczęście jakoś udało mu się powrócić do równowagi.

– Wiesz, Meg, miałaś rację. Ktoś powinien dać tej podłej kobiecie nauczkę – oświadczyła Anne z przekonaniem.

Meg popatrzyła na nią zaskoczona, po czym wybuchnęła serdecznym śmiechem.

– Podobasz mi się, Anne. Myślmy podobnie. Byłabyś doskonałą partnerką dla mojego brata. On potrzebuje kogoś takiego jak ty – dodała, uśmiechając się znacząco.

– Hola, hola! Nie tak szybko – roześmiała się Anne. Czowała, że znowu się rumieni. – Przecież ja mu się wcale nie podobam.

– Tego bym nie powiedziała. On cię naprawdę polubił – stwierdziła z przekonaniem Meg.

– Tak? Nie zauważyłam.

– A jednak to prawda. Pierwszego dnia twego pobytu kazał Manoli osiodłać dla ciebie konia. Chciał zabrać cię na przejażdżkę po śniadaniu. Jesteś pierwszym gościem, którego potraktował w ten sposób, a to chyba o czymś świadczy.

Anne popatrzyła na nią zdziwiona.

– Nic o tym nie wiem.

– Już ci mówiłam, że Quinn jest bardzo nieśmiały. Pewnie zbierał odwagę, by ci to zaproponować, kiedy nagle wyszłaś z jadalni bez słowa.

– Skąd o tym wiesz?

– Właśnie schodziłam na dół, kiedy wymaszerowałaś z dumnie zadartą brodą. Quinn wypadł zaraz za tobą z miną, jakby miał za chwilę eksplodować. Trzasnął drzwiami tak, że o mało nie wyleciały z zawiasów. Wiesz, Anne, cieszę się, że Eddie cię tu przysłał. Czuję, że jeśli komukolwiek udałoby się pomóc mojemu bratu, to tylko tobie. Stawiam na to ten dom i wszystko, co mam – dodała z uśmiechem.

Anne odwzajemniła jej uśmiech, ale zielone oczy pozostały poważne.

– Lepiej nie ryzykuj – ostrzegła. – Ja też cię lubię i nie chciałabym, żebyś to

wszystko straciła.

Anne oparta plecami o chłodną skałę patrzyła na rozkołysane wiatrem drzewa. W powietrzu unosił się silny zapach rosnących wokół kwiatów. Odkryła to miejsce przed paroma dniami i uważała je za swoją prywatną własność. Parę metrów dalej pasła się Sadie, łaciata klacz, którą Manolo na polecenie Quinna zarezerwował do wyłącznego użytku Anne.

Kolibry spijały słodki nektar z kielichów kwiatów, a różnokolorowe skrzydła motyli ożywiały krajobraz tysiącem barw. Nic nie mąciło ciszy leniwego letniego popołudnia.

Anne podciągnęła kolana i oparła o nie brodę. Nie mogła zapomnieć historii, którą usłyszała tego ranka od siostry Quinna. Nawet kiedy opowiadała innym gościom rancza o grze światła i cieni, o kompozycji i kadrze, myślami ciągle była przy tamtej sprawie. Niesubordynacja. Jak to okropnie brzmi!

– Nie krzyw się tak, bo porobią ci się zmarszczki.

Anne drgnęła gwałtownie. Podniosła głowę. O parę kroków dalej Quinn Sinclair we własnej osobie przyglądał jej się z grzbietu swego gniadego wierzchowca. Sadie zarżała cicho. I ona również rozpoznała swego towarzysza.

– Co mi tam – lekceważąco machnęła ręką dziewczyna. – Zresztą zmarszczki podkreślają osobowość.

– Osobowość, co? Czyżby była teraz w modzie?

– Zawsze jest w modzie.

Quinn poprawił się w siodle. Przełożył wodze do jednej ręki, drugą zaś uspokajająco poklepał konia po karku. Miał duże, silne dłonie o zadziwiająco szczupłych i długich palcach. Prawie jak kobieta. Anne skierowała w jego stronę obiektyw aparatu i zrobiła mu całą serię zdjęć.

Zmarszczył brwi i nasunął kapelusz głęboko na czoło.

– Meg mówiła, że ten twój pomysł z safari to prawdziwa bomba. Gościom bardzo się to spodobało.

– No cóż, miałam świetnych uczniów. Praca z nimi to przyjemność.

Quinn obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Taak. Tylko że mnie wydawało się, że przyjechałaś tu na wypoczynek, a nie do pracy.

– Uczenie innych to nie praca. To zabawa. Od lat nie bawiłam się tak dobrze. Nic dziwnego, że kochasz to miejsce.

– Kto ci powiedział?

– Anie?

Milczał. Zręcznie zeskoczył na ziemię. Ogier zarżał i nerwowo potrząsnął łbem.

– Spokojnie, mały. Spokojnie. – Quinn ściągnął wodze. – Zrobimy sobie krótką przerwę. – Odprowadził konia na bok i przywiązał do drzewa.

– Jak mu na imię? – zaciekawiała się Anne.
– Kanaloa.
– Wspaniałe imię. Sam go tak nazwałeś? Mężczyzna potakująco kiwnął głową.

– Kanaloa to...
– ...polinezyjski bóg ciemności – dokończyła Anne. – Niektóre źródła nazywają go też diabłem.

Quinn zawahał się przez chwilę, nim przysiadł na skale obok Anne. Zsunął z głowy kapelusz. Rękawem koszuli otarł spocone czoło.

– Studiujesz miejscową kulturę? – zauważył z uśmiechem.
– No jasne! Zwykle robię to przed podróżą, ale tym razem... wszystko zostało zorganizowane w takim pośpiechu...

Quinn obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

– Ale wiem, że mieszkańcy tych wysp uznają czterech głównych bogów – dodała pośpiesznie, by zatrzeć tamto wrażenie. O mały włos znowu by się wygadała. Kiedy wreszcie skończy się to udawanie?! – Ich imiona to Ku, Kane, Lono i Kanaloa. Kane jest najpotężniejszy z całej czwórki. To właśnie on stworzył świat, używając do tego celu nasion kalabasa. I tak powstały chmury, deszcz, wiatr, gwiazdy, księżyc, no i, oczywiście, słońce.

Urwała. Uniosła twarz do góry, wystawiając ją do słońca. Z przyjemnością wciągnęła w płuca pachnące świeżością powietrze. Odetchnęła głęboko. Jak cudownie jest żyć!

– Mam rację? – uśmiechnęła się.

Quinn potakująco kiwnął głową.

– A wiesz, skąd wzięły się góry i doliny? Anne wytężyła pamięć.

– Z wnętrza olbrzymiej tykwy, tak?

– Tak głosi legenda.

Mężczyzna uśmiechał się, ale na dnie ciemnych oczu czaił się smutek. Teraz, kiedy знаła już powód, chciała pocieszyć go, powiedzieć, że rozumie i bardzo mu współczuje, ale intuicja kazała jej milczeć. Człowiek tak dumny i ambitny jak Quinn łatwo mógłby pomylić współczucie z litością.

Wyciągnął przed siebie nogi i oparł się plecami o ścianę. Cienki materiał koszuli ciasno opinał imponujący tors. Anne z trudem opanowała chęć, by dotknąć naprężonych mięśni. Nim zdała sobie sprawę z tego, co robi, znowu zaczęła go fotografować. Smutne, ciemne oczy, zmarszczone brwi, szeroka pierś. Odłożyła aparat i podjęła przerwana opowieść.

– A potem zjawił się Lono. Z zamiłowania był chyba farmerem i trochę jakby poetą. W każdym razie to jemu zawdzięczamy kwiaty i drzewa, kolory i zapachy. Wszystko to, co czyni te wyspy prawdziwym rajem.

– Masz dobrą pamięć.

– Po prostu staram się wczuć w rolę... To pomaga mi w pracy.

Na wspomnienie pracy oczy mężczyzny pociemniały.

– No a Ku? Co wyczytałaś o nim w swoich mądrych książkach?

Anne oparła dłonie o chłodną trawę i odchyliła się lekko do tyłu.

– Ten gość nieźle namieszał. Z jakichś bliżej nie znanych powodów doszedł do wniosku, że czegoś w tym rajku brakuje. Stworzył pierwszych ludzi, a z nimi wszystkie nasze ziemskie kłopoty.

Quinn nie potrafił oderwać wzroku od ust Anne. Były takie słodkie. Czarowały. Kusily, – O ile dobrze pamiętam, kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, gdy stworzył kobietę.

– No wiesz! Przemawia przez ciebie prawdziwy polinezyjski szowinista!

– O przepraszam, jestem tylko półkrwi Polinezyjczykiem.

– Racja. Zapomniałam. *Hapahaole*. Na wpół biały, tak?

– Tak – padła szorstka odpowiedź. Wcale jej to nie zdziwiło. Zdażyła się już przekonać, że uprzejme słowa były u niego rzadsze od uśmiechu.

Zerwała garść trawy i wolno przesyłała ją przez palce. Pasące się nie opodal konie zastrzygły uszami i cicho zarżały. Nad głową Anne dwie wiewiórki goniły się wśród gałęzi. Sięgnęła po aparat i zrobiła im zdjęcie. Quinn przyglądał jej się z uwagą.

– Czy ty w ogóle ruszasz się gdziekolwiek bez tego urządzenia? – spytał, wskazując Nikona.

– Nie. Ono pomaga mi zrozumieć otaczający mnie świat.

– I nigdy nie kłamie, co?

– Nie temu, kto sam jest szczerzy.

Quinn przyglądał się jej z zachwytem. Rozwiane przez wiatr złote włosy, rozchylone usta, na wpół opuszczone powieki. Była taka piękna. Nagle zapragnął znaleźć się blisko niej. Najbliżej, jak to tylko możliwe. Prawie czuł oplatające go szczupłe uda, jej pot na swojej skórze... Poruszył się niespokojnie. Do licha! Nie powinien był w ogóle tutaj przyjeżdżać. Przy kobiecie takiej jak ta nietrudno stracić głowę.

– A co mówi ci twój aparat o tym miejscu? – spytał, obejmując wzrokiem cichą dolinkę.

– Mówi, że tu jestem bezpieczna.

– Bezpieczna? – Popatrzył na nią zaskoczony.

Anne zadrżała. Niedobrze. Był zbyt blisko, a to oznaczało zagrożenie.

– To znaczy... chciałam powiedzieć, że to miejsce jest naprawdę wyjątkowe – plątała się. – Jakby ktoś zatrzymał w miejscu czas.

– Musiałaś rozmawiać z Meg.

Anne zamarła. Czyżby domyślał się czegoś?

– O... o czym mówisz?

– Ta grotka to dawna świątynia. *Heiau*. Święte miejsce. Moi przodkowie przychodzili tu, by się pomodlić.

Modlić się? Czy ona też przyszła tu w tym samym celu? Prosić o siłę, odwagę i wytrwałość? I o to, by czas uleczył rany Quinna, by z ciemnych oczu zniknął smutek, by...

– A więc to dlatego jest tu tak spokojnie – mruknęła.

– Legenda głosi, że *kahunas*, to jest kapłani, nadal tu przebywają.

– A ty? Czy przyszedłeś tu, by się pomodlić?

– Już nie – rzucił krótko, wstając z kamienia.

Anne zrozumiała, że spotkanie dobiegło końca. Podniosła się z ziemi i otrzepała zakurzone nogawki spodni.

– Na mnie też już czas – westchnęła z zalem. – Obiecałam pani Bronsky, że będę czwartą do brydza.

– Świetna zabawa, co? – mruknął mężczyzna. Ton przeczył jego słowom.

– Zdaje się, że brydż nie należy do twoich ulubionych rozrywek.

– Okropnie nudny.

Odprowadził ją do miejsca, gdzie pasła się Sadie. Klacz zarżała cichutko i podeszła bliżej, trącając jej ramię wilgotnymi chrapami. Anne roześmiała się. Z przytroczonego do siodła małego, kolorowego plecaka wyjęła marchewkę.

– Połowa teraz, a połowa, kiedy bezpiecznie dowieziesz mnie do domu – powiedziała, łamiąc marchewkę na pół.

– Stara Sadie będzie niepokieszona, kiedy stąd wyjedziesz – uśmiechnął się Quinn. – Manolo mówił mi, że okropnie ją rozpieszczasz. Zrobiła się łagodna jak baranek – zauważył, głaszcząc jasną grzywę.

– Nie byłabym tego taka pewna – mruknęła Anne. – Dziś rano zrzuciła mnie na ziemię.

Mężczyzna obrzucił ją zaniepokojonym spojrzeniem.

– Musiał ją wystraszyć jakiś hałas.

– Tak. Szczekanie psa. Skąd wiedziałeś?

Quinn wyciągnął dłoń i delikatnie odgarnął kosmyk włosów z policzka Anne.

– Sadie od maleńkości boi się hałasu. Dlatego właśnie Manolo nie pozwala dosiadać jej dzieciom ani nowicjusom.

– Patrz, chociaż jej nie przywiązałam, wcale nie odeszła daleko.

– Nigdy tego nie robi.

– Jest dobrze wytresowana.

– Tak.

Nagle znaleźli się tuż obok siebie. Quinn zrobił krok do przodu. A może to ona poruszyła się pierwsza.

– Lepiej już pójdę – szepnęła, kiedy szorstki kciuk mężczyzny delikatnie dotknął jej rozpalonego policzka.

– Jeszcze nie – zaprotestował, pochylając się do jej ust. Nim zdołała zorientować się w jego zamiarach, twarde namiętne wargi zamknęły jej usta.

Poczuła, jak oblewa ją gorąca fala pożądania.

Quinn całował ją wolno, napawając się miękkością *jej* warg. Ona również zapragnęła go dotknąć. Otoczyła ramionami szyję mężczyzny. Quinn zadrżał lekko i przyciągnął ją bliżej. Przeszkadzał im zawieszony na szyi Anne aparat. Chwycił za pasek i uwolnił ją od ciężaru, zarzucając aparat na siodło Sadie. Klacz zarżała nerwowo, usiłując wsunąć łeb pomiędzy złączoną w uścisku parę. Quinn roześmiał się rozbawiony i ponownie pochylił się do ust Anne.

Pocałunki stawały się coraz bardziej łakome. Wargi Quinna były gorące, ciało jeszcze gorętsze, a ona myślała tylko o jego pocałunkach. Serce biło jej jak oszalałe. Na brzuchu wyraźnie czuła dowód jego pożądania. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Ciężko oparła się o Quinna, który nie przerywał pocałunku.

Anne wspięła się na palce, by być jeszcze bliżej. Najbliżej jak to możliwe. Dotrzeć tam, gdzie nikt inny nie miał dostępu. Stać się jednością.

Quinn nie pojmował, co się z nim działo. Nigdy przedtem nie pragnął tak bardzo żadnej kobiety. Przez cały ten czas, od chwili gdy ujrzał ją na lotnisku w Hilo, chciał spróbować tych miękkich, słodkich ust. Każdej kolejnej nocy marzył o zielonych oczach i rozsypanych na poduszce złotych włosach.

Rozluźnił uścisk i przesunął dłonie na kuszące wypukłości jej zgrabnego tyłeczka. Kusila go tak co rano, kiedy paradowała koło stajni w tych swoich opiętych spodenkach. Zapragnął posiąść ją teraz, zaraz, w tym świętym miejscu, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że byłoby to świętokradztwem. Nie pojmował, jak mógł tak długo bez niej żyć.

Wtulona w silne, muskularne ciało, Anne zapomniała o strachu, bólu i grożącym jej niebezpieczeństwie. Z jej ust wyrwało się ciche, słodkie westchnienie. Quinn dosłyszał tę niemą prośbę. Zrozumiał, że znaleźli się w punkcie, gdzie zacierała się granica pomiędzy wolnym wyborem a koniecznością. Wiedział, że jeszcze chwila i będzie za późno, by się wycofać. Niechętnie oderwał wargi od ust Anne i wypuścił ją z ramion. Stali naprzeciw siebie, oddychając ciężko, jak po długim, męczącym biegu. Anne wolno rozchyliła powieki. Zielone oczy ciągle jeszcze zasnuwała mgielka pożądania. Nie dostrzegł w nich ani potępienia, ani zimnego wyrachowania, ani też fałszywej skromności. A może tylko tak mu się wydawało... Wiedział jedno. Musi być ostrożny. Bardzo ostrożny.

– Czyżbyś nie zamierzała mnie powstrzymać? – rzucił gniewnie.

Ostry ton podziałał na Anne niczym kubeł zimnej wody.

– O tak! Właśnie miałam taki zamiar – odburknęła, cofając się gwałtownie.

– I nie próbuj tego powtórzyć – dodała groźnie.

To mówiąc odwróciła się. Nim jednak zdążyła włożyć stopę w strzemień, silne ramiona pochwyciły ją i posadziły w siodle z taką lekkością, jakby była dzieckiem, a nie dorosłą kobietą. Quinn bez słowa wręczył jej wodze. Na jego przystojnej twarzy malowała się kamienna obojętność.

– Nikt nie będzie mówił mi, co mam robić. Zapamiętaj to sobie – warknął, mierząc ją groźnym spojrzeniem. – I nie zapominaj, że to ja mam klucz od tych przeklętych drzwi.

Nim zdążyła odpowiedzieć, klepnął Sadie po zadzie. Klacz ostro ruszyła przed siebie, a Anne nie pozostało nic innego, jak mocno ścisnąć wodze.

Quinn był sam w pokoju. Przed nim na stole stała butelka rumu. W rękę trzymał na wpół opróżnioną szklaneczkę.

– Za celibat! – mruknął, jednym haustem wychylając pozostały w szklance trunek. Mocny alkohol przyjemnie rozgrzewał wnętrze. Sięgnął po butelkę i ponownie napełnił szklaneczkę. Brzęk uderzającej o krawędź naczynia szyjki butelki przypominał mu podobne chwile, kiedy w mocnym alkoholu próbował utopić stare smutki. Bezsenne noce spędzone sam na sam z butelką i naładowanym rewolwerem. Dziś jednak to nie przeszłość nie pozwalała mu zasnąć. Prawdziwym powodem była śpiąca za ścianą kobieta. Anne Oliver. Modelka z Nowego Jorku. Słodkie usta, miękkie, kobiece ciało, płonące z pożądania zielone oczy. Czy choć na chwilę uda mu się o niej zapomnieć?!

Siedząc nad książkami rachunkowymi w swoim biurze zamiast cyfr widział jej zarumienione z podniecenia policzki, rozchylone w kuszącym uśmiechu usta. Kiedy objeżdżał pastwisko, zapragnął nagle, by Anne była przy nim. Chciał razem z nią podziwiać zachód słońca nad doliną. Teraz zaś, gdy dzieliły go od niej jedynie drzwi, nie potrafił opanować zżerającego go ognia żądzy, której nie ugasiły nawet długie, lodowato-zimne prysznice.

Myślał o popołudniu, które spędzili razem w grocie. Dzięki Anne ujrzał to miejsce zupełnie innymi oczyma. Jej słowa sprawiły, że stara legenda ożyła, wypełniając grotę duchami przeszłości.

Znali się zaledwie parę tygodni, rozmawiali tylko dwa lub trzy razy, a miał wrażenie, jakby w jej obecności stawał się zupełnie innym człowiekiem. Młodszym, weselszym, lepszym... Budziła w nim pragnienia i tęsknoty, których obecności nawet nie podejrzewał. Był pewny, że dawno już umarli, odeszły w zapomnienie. Ona to sprawiła, że na nowo obudziła się w nim wiara w człowieka. W zielonych oczach ujrzał obietnice, w które zapragnął uwierzyć.

Jednym haustem opróżnił trzymaną w dłoni szklaneczkę i z głośnym trzaskiem odstawił ją na stół. W tej samej chwili stary zegar, weselny dar króla Kamehameha dla Josiaha Sinclaira i jego młodej żony, wybił północ. Quinn zaklął cicho. Opuścił sypialnię i ruszył w dół szerokimi schodami, na których sześć pokoleń żon Sinclairów oczekiwało swoich oblubieńców. Na niego nie czekał nikt.

Długie, silne nogi przeskakiwały co drugi schodek. Miękki dywan tłumiał kroki. W całym domu panowała niczym nie zmacona cisza. Zaskrzypiały gwałtownie pchnięte drzwi. Zachrobotał miażdżony ciężkimi butami żwir, kiedy

Quinn szybkim krokiem przemierzał podwórze kierując się w stronę stajni. Po chwili pojawił się już w siodle. Spiął ostrogami boki wierzchowca. Kanaloa stanął dęba, zarżał cicho, po czym ostrym galopem ruszył w ciemność. Na twarz jeźdźca spadły pierwsze krople zimnego deszczu. Niebo rozdarła błyskawica. Nadchodziła burza.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nad brzegiem przepaści stało sześciu zamaskowanych mężczyzn. Dwóch z nich miało uniesione do góry dłonie. W rękach pozostałych czterech błyszczały strzelby.

Był mroźny, grudniowy poranek. Osrebrzone szronem źdźbła trawy przesłaniały jej widok.

– Nie! – krzyknęła Anne. – Nie róbcie tego!

Jej słowa stłumił odgłos wystrzałów. Dwaj mężczyźni zachwiali się. Trysnęła krew.

Echo wystrzałów umilkło. Cisza. Zwrócone w jej stronę strzelby. Strach. Nogi miała jak z waty, serce waliło jak oszalałe, a jednak potrafiła jeszcze biec. Była już prawie przy samochodzie, kiedy trafiła ją jedna z kul. Zachwiała się. Ostry ból przeszył jej ramię. Mimo to udało jej się otworzyć drzwi i włączyć silnik. Była uratowana. Już wiedziała, że nie umrze. Nie tutaj. Nie teraz. Nie w ten sposób.

– Nie! – powtarzała, rzucając się na łóżku. – Nie! Nie!

– Spokojnie, Anne! Uspokój się! To tylko zły sen. Szorstkie palce delikatnie głaskały ją po policzku. Na wpół rozbudzona wtuliła twarz w tę ciepłą, dużą dłoń. Była bezpieczna.

Minęła cała wieczność, nim wreszcie udało jej się rozchylić zaciśnięte powieki. Na brzegu łóżka siedział Quinn. Łączące oba pokoje drzwi były otwarte. Przez szparę dostrzegła szerokie łóżko z rozgrzebaną pościelą. Musiał już spać, kiedy obudził go jej krzyk. Poduszka nosiła jeszcze ślad jego głowy, a kołdra zachowała pewnie ciepło jego ciała.

– Miałam taki sen... To było straszne – wyjąkała. Wystarczyło, by przymknęła oczy, a znowu widziała twarze tamtych ofiar. Pełne przerażenia oczy i otwarte do krzyku usta. Nie chcieli umierać. Nikt nie chce umierać. A już na pewno nie w ten sposób. Zadrzała.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie jestem beksą, ale... Przepraszam, nie chciałam cię obudzić.

Mężczyzna zawahał się przez chwilę, po czym położył się na łóżku obok dziewczyny. Objął ją ramieniem.

– Quinn... – zaczęła niepewnie.

– Ciii... Nic nie mów. Postaraj się zasnąć.

Anne zamruczała na znak protestu. Chciała usiąść na łóżku, ale przytrzymały ją silne ramiona. Promieniujące z jego ciała ciepło było jak narkotyk. Uspokajało. Szeroka pierś unosiła się i opadała jednostajnym rytmem, kołysząc ją do snu. Anne oparła policzek na ramieniu Quinna i pozwoliła opaść zmęczonym powiekom. Duża, szorstka dłoń delikatnie głaskała złote włosy.

Przysunęła się bliżej.

– Wiesz, co właśnie odkryłam? – zamruczała sennie.

– Tak?

– Że pod tą maską gburowatej obojętności jesteś naprawdę słodki. Cieszę się, że Ed mnie tu przysłał.

Uśmiechnął się leciutko.

– Śpij dobrze, Anne – szepnął drżącym ze wzruszenia głosem. – Będę czuwał, żeby nie przyśniło ci się nic złego, i odpędzę wszystkie koszmary.

Anne odwzajemniła uśmiech.

– Chciałabym, żeby tak mogło być, ale to chyba niemożliwe.

Po chwili już spała.

Quinn leżał w ciemności, tuląc do siebie śpiącą kobietę. Anna oparła głowę na jego ramieniu. Jasne włosy leżały rozsypane na szerokiej, muskularnej piersi niczym złota kurtyna. Ostrożnie, w obawie, by jej nie zbudzić, Quinn uniósł ramię i podłożył je sobie pod głowę. Nie miał zamiaru spać. We śnie człowiek stawał się równie bezbronny jak nowo narodzone dziecko. Zwłaszcza w cudzym łóżku.

Odetchnął głęboko, z przyjemnością wciągając w nozdrza delikatny, kobiecy zapach. Zanim się ożenił, nigdy nie zdarzyło mu się spać z kobietą nie kochając się z nią. Ale z Anne było inaczej. Pragnął jedynie z nią być. Zasypiać i budzić się przy jej boku, rozmawiać i milczeć. Przy niej stawał się zupełnie innym człowiekiem. Budziła w nim uczucia, o których istnieniu zdążył już zapomnieć, tęsknoty, które starał się pogrzebać na wieki. I tego właśnie najbardziej się obawiał. Mimo iż upłynęło już tyle lat, nie potrafił zapomnieć krzywd, jakich doznał od kobiety, którą kiedyś tak bardzo kochał. Wcale nie był pewien, czy Anne ze swoimi słodkimi uśmiechami i miłymi słówkami różniła się od tamtej.

Powoli uwolnił ramię spod głowy śpiącej kobiety i ostrożnie zsunął się z łóżka. Wrócił do swego pokoju, cicho zamykając za sobą ciężkie, drewniane drzwi. Był w połowie drogi do łazienki, gdy rozdzwonił się telefon.

– Lepiej, żeby było to coś naprawdę ważnego – warknął do słuchawki.

– I jest.

Rozpoznał charakterystyczny, nosowy akcent Eda Franklyna. Przysiadł na łóżku, pocierając szorstki od zarostu policzek.

– No więc? Co się stało?

– Jesteś sam?

Spojrzenie Quinna powędrowało w kierunku zamkniętych drzwi, dzielących jego pokój od sypialni Anne.

– Tak.

Cisza. Quinn czekał cierpliwie.

– Mamy kłopoty – zaczął niepewnie Franklyn.

– Tak?

Skulony w oddalonej o trzy ulice od jego biura budce telefonicznej Ed

Franklyn nerwowo ścisnął słuchawkę, przyglądając się wirującym w powietrzu płatkom śniegu. Miał poszarzałą ze zmęczenia twarz, podkrążone oczy, a w ustach gorzki smak pozostawiony przez niezliczoną ilość wypitej kawy.

– Pamiętasz, wspominałem ci kiedyś, że kiedy odszedłem z marynarki, podjąłem pracę w Departamencie Sprawiedliwości – ciągnął powoli.

– A... tak. Rzeczywiście. Przypominam sobie. W dziale do spraw emigrantów, tak?

– No, nie bardzo – zawahał się Ed. – Jestem szefem Programu Ochrony Świadków.

Wystarczyła krótka chwila, by Quinn uświadomił sobie, co kryło się za tym wyznaniem.

– Anne – rzucił sucho.

– Zawsze wiedziałem, że bystry z ciebie chłopak.

– Jak widać, nie dość bystry. Wykorzystałeś mnie. Mężczyzna po drugiej stronie linii westchnął ciężko.

– To było konieczne. Wybacz, Quinn.

– Bzdura! I dobrze o tym wiesz!

– No cóż, wiem, ile znaczy dla ciebie twoje ranczo i bałem się, że jeśli powiem ci całą prawdę, nigdy nie zgodzisz się na mój plan, w obawie, by nie narażać tego miejsca.

– I miałaś rację. – Quinn odetchnął głęboko i policzył do dziesięciu, by się uspokoić. – Opowiedz mi o Anne.

– Czy słyszałeś może o Aryan American Brigade?

– Coś niecoś. Neonazystowska banda kretynów. Walczą o czystość rasy, tak?

– Właśnie – przytaknął Franklyn. – Obecnie ich główna kwatera mieści się w Kolorado. Nasz wywiad zakłada, że jest ich jakieś dwadzieścia tysięcy. Są podzieleni na mniejsze grupy i opanowali już prawie wszystkie południowo-zachodnie stany. Ich przywódcą jest były komandos Marvin Draygon.

– Widziałem jego zdjęcia – przypomniał sobie Quinn. – Trzeba przyznać, że ma sukinsyn prezencję.

– Tak. A do tego cechuje go wyjątkowe okrucieństwo i nienawiść w stosunku do wszystkich, którzy nie posiadają czysto anglosaskiego pochodzenia.

Quinn zmarszczył brwi.

– A co ma z tym wspólnego Anne?

– Hm, no cóż... Po pierwsze, nie jest żadną modelką, tylko fotoreporterem. Robiła właśnie reportaż o ginącym gatunku jeleni gdzieś w lasach Kolorado, kiedy Draygon i jego ludzie wybrali dokładnie to samo miejsce, by wykonać wyrok na dwóch zakamuflowanych agentach FBI, którym udało się wkręcić w szeregi Brigade. Anne widziała to wszystko.

Quinn zaklął cicho.

– Nic dziwnego, że dręczą ją koszmary – mruknął pod nosem.

– Co takiego?

– Nie, nic. Mów dalej.

– Dzięki temu mamy świetną okazję, by postawić tego drania Draygona i jego koleżków przed sądem. Rozprawę wyznaczono na drugiego kwietnia. Oczywiście pod warunkiem, że główny świadek oskarżenia dożyje tej daty.

– Jak to, pod warunkiem?!

– Widzisz, jedna z naszych najlepszych agentek, przebrana za Anne, zamieszkała w jej domu w Silver Springs. Była tak dobrze ucharakteryzowana, że nawet rodzona babka Anne Oliver nie zauważyłaby różnicy.

– Była...?

– Niestety – przytaknął niechętnie Franklyn. – Sześciu drani w wojskowych mundurach wdarło się dziś rano do domu. Zabili dwóch agentów z ochrony i, oczywiście, dziewczynę. Zanim odeszli, zdołali dobrze przyjrzeć się jej twarzy. Już wiedzą, że to nie była prawdziwa Anne Oliver.

Quinn zmełł w ustach kolejne przekleństwo.

– Przyślij tu kogoś. Natychmiast.

– Spokojnie, stary. Wszystko jest pod kontrolą – uspokajał go przyjaciel.

– Jak widać, nie wszystko – warknął Quinn.

– Mamy powody, by przypuszczać, że w naszym systemie bezpieczeństwa jest jakiś przeciek – niechętnie wyznał Franklyn. – Boję się, że jeśli teraz wyślę kogoś na ranczo, mogą go śledzić.

Quinn ścisnął słuchawkę.

– Co mam robić?

– Chcę, żebyś dostarczył ją do Pearl Harbor. Helikopterem. Jeszcze dziś. Tam zajmie się nią nasz wywiad wojskowy, dopóki nie uda nam się znaleźć dla niej innej kryjówki.

Quinn popatrzył na budzący się za oknem świt. Poczł znajome ściskanie w dołku.

– To niemożliwe. Helikopter jest zepsuty. Coś z przewodem paliwowym.

– Przypadek?

– Raczej tak. A co, chcesz się założyć? Franklyn zaklął brzydko.

– Masz jakiś inny pomysł? Mnie nic nie przychodzi do głowy.

Quinn zamknął oczy i pomyślał o wyspie, którą znał jak swoją kieszeń.

– Na wybrzeżu Hamakua, pomiędzy Keokea Beach i Waipo Bay, jest taki mały kawałek opuszczonej plaży. Czasem zabieramy tam naszych gości na połów rekinów. To dzika okolica, żadnych dróg. Są tylko dwa sposoby, żeby dotrzeć do tego miejsca: samolot albo łódź.

– Czy możesz przeliterować te nazwy? Quinn spełnił prośbę przyjaciela.

– Dostarczę ją tam pojutrze o świcie – dokończył.

– Ale przecież mówiłeś, że wasz helikopter...

– Pojedziemy konno.

– Konno? Czy to nie za duże ryzyko?

– Nic się nie martw – uspokoił przyjaciela Quinn. – To dziki kraj, ale nie zapominaj, że wychowałem się na tej wyspie. Znam tu każdy kamień, a poza tym mam wszędzie krewnych. Jeśli uda nam się do nich dotrzeć, dostarczę ci ją we czwartek rano całą i zdrową.

– Hm, to brzmi całkiem rozsądnie – zgodził się Franklyn. – Przylecę po nią osobiście, żeby się nie bała.

Quinn zawahał się.

– A co z Meg... i innymi? – spytał cicho.

– Istnieje duże prawdopodobieństwo, że ludzie Draygona wcale nie wiedzą, gdzie obecnie przebywa Anne. A nawet jeśli już się dowiedzieli, nie sądzę, żeby znów odważyli się na taką akcję jak w Silver Springs.

– Możliwe, ale nie mam prawa narażać na niebezpieczeństwo mojej siostry i pozostałych mieszkańców. Przyślij tu kogoś do ochrony.

– Najszybciej jak to będzie możliwe – obiecał Franklyn. – A tymczasem...

– A tymczasem rozstawię wokół domu moich ludzi – przerwał mu Quinn. – Będą uzbrojeni.

Zastępca prokuratora generalnego westchnął ciężko.

– Jest jeszcze jedna sprawa, o której powinieneś wiedzieć, Quinn – powiedział cicho. – Anne Oliver została postrzelona, kiedy uciekała przed Draygonem i jego mordercami. Bóg jeden wie, jak jej się to udało. Nie możemy jej teraz utracić.

Utracić?! Quinn zeszywniał.

– Nic się jej nie stanie – oświadczył twardo. – Zaufaj mi.

Franklyn milczał przez chwilę, po czym dodał sucho:

– I jeszcze jedno. To bardzo dzielna kobieta, ale ostatnio wiele przeszła. Zależy nam, żeby zrobiła dobre wrażenie na ławie przysięgłych. No, wiesz, o czym mówię. Nie chcielibyśmy żadnych łez i hysterii...

– To okrutne, co mówisz, Ed.

– Wiem, ale taka jest moja praca.

– Co wcale nie zmienia faktu, że to naprawdę parszywe zajęcie.

Quinn odłożył słuchawkę i podszedł do szafy. Z najwyższej półki zdjął dużą, metalową skrzynkę i postawił ją na stole. Wewnątrz znajdowały się wszystkie odznaczenia wojskowe, jakie otrzymał podczas służby na morzu, plik dokumentów, a wśród nich znienawidzony strzępek papieru skazujący go na spędzenie reszty życia w hańbie i upokorzeniu. Zacisnął usta i sięgnął głębiej. Na dnie skrzynki leżała zniszczona, skórzana kabura, a w niej odziedziczona po ojcu czterdziestka piątka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Anne podstawiała twarz pod strumień ciepłej wody. Powoli namydliła całe ciało. W jej głowie kłębiło się tysiące myśli.

Choć Quinn spędził tę noc w jej łóżku, nie kochali się. Była mu za to wdzięczna, ale jednocześnie jakby trochę rozczarowana. Po wspólnie spędzonym popołudniu przestała udawać przed sobą, że ten mężczyzna jest jej całkowicie obojętny. Ze zdziwieniem odkryła, że Quinn podobał jej się i to tak bardzo, że przerażała ją siła własnych doznań. Wciąż czuła na sobie dotyk jego silnego, muskularnego ciała. Pragnęła go aż do bólu.

Anne Oliver nie była niewinną nastolatką. W swoim dorosłym życiu przeżyła kilka poważnych romansów, wyważonych i dopracowanych do najdrobniejszego szczegółu. Tak samo jak jej fotografie. Ale z tym mężczyzną było zupełnie inaczej. Instynktownie wyczuwała, że żadna kobieta nie byłaby w stanie dyktować mu swoich warunków.

Zniecierpliwiona swoimi rozmyślaniami, gwałtownie szarpnęła zasłonkę oddzielającą kabinę prysznicową od reszty łazienki i sięgnęła po ręcznik. Przez uchylone okno wpadały do środka znajome odgłosy budzącego się do życia dnia. Parskanie koni, warkot ciężarówek, wesołe męskie głosy.

Owinęła się ręcznikiem. Postanowiła nie tracić czasu na wycieranie się. Dzień był ciepły. Podśpiewując cichutko pod nosem opuściła łazienkę. Zrobiła dwa kroki i zamarła.

Pośrodku pokoju stał Quinn. Ciemna czupryna połyskiwała w promieniach wpadającego do pokoju przez szparę w zasłonach słońca. Tę rana wyglądał jakoś inaczej niż zwykle. Policzki nosiły ślady starannego golenia.

– Szukasz czegoś?

Odwrócił się gwałtownie. W rękach trzymał zwiniętą w kłęb jej bieliznę. Wsunął ją do skórzanej torby.

– Za dziesięć minut wyruszamy. Lepiej się pośpiesz – mruknął. Otworzył kolejną szufladę, wyjął z niej dwie koszulowe bluzki Anne i wsunął je do torby razem z bielizną.

– A dokąd to się wybieramy, jeśli można wiedzieć?

– Na wesele.

Anne popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy to wczoraj uzgodnili.

Czepek kąpielowy, który miała na głowie, jeszcze nie wysechł. Kapiące z niego kropelki wody spływały jej do oczu. Zniecierpliwionym ruchem zerwała go z głowy. Włosy złotą kaskadą opadły jej na ramiona.

Quinn zadrżał. Poczul, jak wzbiera w nim pożądanie.

– Włóż dzinsy i buty do jazdy – powiedział cicho. – Pojedziemy konno.

Aha, i nie zapomnij o kapeluszu. To cały dzień drogi. Przenocujemy w wiosce.

– Nie, Quinn. Dziękuję, ale nie. – Anne przecząco pokręciła głową. – Obiecałam Meg, że poprowadzę jeszcze jedno safari.

Quinn obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Twarda z niej sztuka! – pomyślał. Ale on również nie dawał tak łatwo za wygraną.

Zamknął szufladę. Zarzucił torbę na ramię i podszedł do dziewczyny.

– Helikopter jest już sprawny. Meg nie będzie cię dziś potrzebowała. – Kłamstwo nie przyszło mu łatwo, ale nie miał innego wyjścia. – Jeśli chcesz, możesz zabrać ze sobą aparat – kusił. – To będzie prawdziwe hawajskie wesele. Nie takie jak jedno z tych przedstawień dla turystów. Większość *haoles* nie ma najmniejszych szans, by zobaczyć to widowisko. Wątpię zresztą, czy dostrzeżliby różnicę między rzeczywistością a fikcją, ale jestem pewien, że dla ciebie miałyby to znaczenie.

Anne zawahała się. Prawdziwe hawajskie wesele. To nie lada gratka dla fotografa. To była kusząca propozycja, ale ogarniały ją pewne wątpliwości. Wiedziała, że kolejna noc w towarzystwie Quinna będzie dla niej ciężką próbą. Podniosła głowę i zmusiła się, by spojrzeć prosto w ciemne, pełne zagadek oczy.

– Jeśli chodzi o tę ostatnią noc... – zaczęła niepewnie.

– Ostatniej nocy potrzebowałaś po prostu przyjaciela – przerwał jej. – Tak się złożyło, że byłem w pobliżu.

– A... dziś?

– Dziś?... Dziś wszystko zależy od ciebie – powiedział cicho, podchodząc bliżej. – Nie będę ukrywać, że cię pragnę, bo taka jest prawda. – Wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku. Pochylił głowę do jej ust.

Anne zeszywniała. Usiłowała zaprotestować, ale nagle zabrakło jej sił. Rozchyliła wargi poddając się słodkim pieszczotom jego języka. Dłonie mężczyzny zsunęły się na jej pełne, kobiece piersi. Zadrżała i mocniej przywarła do silnego, muskularnego ciała. Otoczyła ramionami szyję Quinna i zatopiła palce w gęstej czuprynie. Jego włosy były zaskakująco miękkie i jedwabiste. Z piersi mężczyzny wyrwało się ciche westchnienie. Tylko ręcznik i cienka warstwa ubrania oddzielały od siebie płonące z pożądania ciała.

Anne czuła, jak raz po raz oblewają ją gorące fale żądz. Była gotowa na przyjęcie mężczyzny.

Quinn niechętnie oderwał wargi od jej słodkich ust. Anne zachwiała się lekko. Przytrzymał ją silnym ramieniem. Oddychała ciężko. Drżącymi palcami poprawiła zsuwający się ręcznik.

– Pozwól, że ci pomogę. – Quinn schwycił końce ręcznika i zawiązał je w mocny supeł. W trakcie tej czynności jego palce musnęły jej piersi. Wrażliwe sutki wyraźnie przebijały przez cienką tkaninę.

– Pragnę cię, Anne – szepnął chrapliwym z podniecenia głosem. – Nie chcę jednak do niczego cię zmuszać. Wybór należy do ciebie. Wyruszam za dziesięć

minut. Jedziesz ze mną?

Anne czubkiem języka zwilżyła spierzchnięte wargi.

– Tak – uśmiechnęła się nieśmiało. – Jadę z tobą.

– Witaj w Kaliwea – powiedział Quinn, kiedy znaleźli się u wrót zielonej doliny po drugiej stronie gór.

Anne zerknęła na zegarek. Już czwarta? Jechali przez cały dzień, prawie nie robiąc postojów. Z początku szlak był wyraźnie oznaczony, ale wkrótce musieli przedzierać się przez gęstwiny, a jedyne znaki, jakimi się kierowali, były zapisane tylko w pamięci Quinna. Z każdą przebytą milą powietrze stawało się coraz rzadsze, za to roślinność coraz bujniejsza. Miało to jednak swoje dobre strony. Splątane gałęzie drzew chroniły ich przed palącymi promieniami słońca.

– Czy ta ziemia również należy do ciebie? – zaciekawiała się Anne.

– Kiedyś należała. Parę lat temu sprzedałem ją Mamie Chloe.

– Czy to nasza gospodyni?

– Tak. Kuzynka mojego ojca. Jest chodzącą skarbnicą wiedzy o tym zakątku świata i chciałaby ocalić od zapomnienia stare zwyczaje odziedziczone po naszych wyspiarskich przodkach. Postanowiła stworzyć tu coś w rodzaju niewielkiego skansenu i pokazywać go turystom. Organizować dla nich przedstawienia, serwować miejscową kuchnię. Dzisiejszej nocy będziesz spała w prawdziwej hawajskiej chacie, której dach zrobiony jest z suszonej trawy.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się Anne. – Wprost nie mogę się doczekać.

Quinn obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

– Nie ciesz się tak. Nie zapominaj, że powrót do natury wiąże się z brakiem elektryczności, sanitariatów...

– O!

– Ale nie martw się – pocieszył ją szybko. – Mama Chloe dba o swoich gości i chciałaby, żeby tu powracali. Poczyniła więc pewne drobne ustępstwa na rzecz najbardziej niezbędnych zdobyczy cywilizacji.

Anne popatrzyła na swoje zakurzone dżinsy.

– Dzięki Bogu! – mruknęła.

Quinn roześmiał się rozbawiony. Nareszcie – pomyślała. Pierwsza oznaka odprężenia. Może jednak uda jej się przełamać tę barierę nieufności, którą się otaczał. Chciała skakać do góry z radości. Najchętniej rzuciłaby mu się na szyję.

Głupia! – skarciła samą siebie w duchu. Przecież to tylko zwyczajny uśmiech.

Jechali powoli. Stukot końskich podków mieszał się ze śpiewem ptaków, szelestem poruszanych przez wiatr liści. Z trzech stron otaczała ich gęsta ściana roślinności, przed sobą zaś mieli rozległą polanę. Kierowali się wprost na duży, otynkowany na biało bungalow.

Sześć wysokich betonowych stopni prowadziło na ogromną drewnianą

werandę. Anne zrobiła kilka zdjęć.

– Konie zostawimy tutaj – powiedział Quinn, zgrabnie zeskakując na ziemię.

Anne chciała pójść w jego ślady, ale przeszkodził jej w tym silny ból zeszywniałego kręgosłupa. Jęknęła cicho. Mężczyzna uwiązał konie i pomógł jej zsunąć się z siodła.

– Zmęczona?

– Trochę. Ale to drobiazg – zdobyła się na krzywy uśmiech. Serce waliło jej jak oszalałe, jak zawsze, kiedy się do niej zbliżał.

Quinn zawahał się przez chwilę, po czym wyciągnął rękę i zdjął z jej głowy kapelusz.

– Wolę cię z rozpuszczonymi włosami. Tak jak dziś rano. – Kolejny ruch ręki i włosy Anne złotą falą opadły jej na ramiona. Szorstkie palce Quinna delikatnie masowały zeszywniały kark.

– Kiedy tylko cię ujrzałem, wiedziałem, że będą z tego kłopoty – powiedział cicho, patrząc w zielone oczy.

– Ja... nie chciałam...

Przysunął się bliżej, tak że ich ciała niemal się zetknęły.

– Tamtego ranka, kiedy posprzeczałyśmy się w jadalni, odniosłem wrażenie, że tylko udajesz taką trudną do zdobycia.

Anne dostrzegła czający się w kącikach jego warg uśmiech.

– Nigdy niczego nie udaję – szepnęła.

– Wiem. Ja również.

Z wrażenia zaschło jej w ustach.

– Wiem.

Uniosła dłoń i położyła ją na szerokiej piersi Quinna.

Zacisnęła palce na cienkim materiale koszuli. Sama nie wiedziała, czy robi to dlatego, by go odepchnąć, czy raczej przytrzymać?

Czekał. Jego gorący oddech parzył jej szyję. Wiedziała, że jeśli teraz go odepchnie, będzie to koniec wszystkiego. Nieodwracalny.

– Quinn – szepnęła z ustami na twardych wargach mężczyzny.

Pocałunek był zaskakująco krótki i obojętny. Silne dłonie powstrzymały ją przed ponownym zbliżeniem. Zmarszczyła brwi. Dlaczego?!

W tej samej chwili drzwi domu otworzyły się z głośnym trzaskiem. Na werandę wysypała się rozbawiona gromadka domowników. Anne drgnęła gwałtownie.

– Zawsze trafiam na niewłaściwą chwilę – mruknął Quinn, wypuszczając ją z ramion.

Anne dopiero teraz zdała sobie sprawę, że stoją bardzo blisko siebie. Cofnęła się gwałtownie.

– Czy... czy ci wszyscy ludzie to twoi krewni? – wykrztusiła zaskoczona.

– Obawiam się, że tak. – Quinn ogarnął wesołą gromadkę uważnym spojrzeniem, szukając nieznanym twarzą, ale ujrzał jedynie całą masę wujków, ciotek, sióstr i braci, bliższych i dalszych kuzynów.

Dorośli i dzieci śmiejąc się i przepychając ruszyli na im na spotkanie.

– *Aloha!* – zawołali zgodnym chórem.

– *Aloha nui!* – odpowiedział im Quinn, wymieniając uściski dłoni.

Przedstawił Anne, używając jedynie jej imienia. Miejscowy zwyczaj czy może znak, że uznawał ją za swego przyjaciela? – zastanawiała się, ściskając wyciągnięte w jej stronę dłonie i starając zapamiętać egzotycznie brzmiące imiona. Było oczywiste, że gospodarze wcale nie spodziewali się Quinna. Ich zdziwienie pogłębiło się jeszcze na widok kobiety, którą ze sobą przywiózł. Co to wszystko ma, u licha, znaczyć?!

Loni, panna młoda, była pulchna i niska. W okrągłych brązowych oczach migotały radosne iskierki. Ku zdziwieniu Anne okazało się, że przyjęcie weselne, *luau*, poprzedza ślubną ceremonię, która miała odbyć się dopiero następnego dnia w południe.

– Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz? – uśmiechnął się Quinn, obejmując kuzynkę i całując ją w promieniejące szczęściem policzki.

– Żartujesz! – roześmiała się szczęśliwa narzeczona. – Trzy lata zajęło, mi przekonanie tego upartego chłopaka, żeby mi się wreszcie oświadczył. Teraz już go nie wypuszczę.

Quinn ze smutkiem pokiwał głową.

– Biedny Cully. Nawet nie wie, co go czeka. Loni żartobliwie uderzyła mężczyznę po ramieniu.

– Prawdę mówiąc, jestem strasznie zdenerwowana – zwierzyła się Anne, która uśmiechnęła się, by dodać dziewczynie otuchy.

– Czy nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebym zrobiła parę zdjęć? Teraz i jutro, podczas ślubu – spytała nieśmiało. – Chciałabym, żeby był to prezent dla ciebie i Cully’ego.

Oczy Loni rozbłysły.

– Jesteś może fotografem?

Anne poczuła, jak policzki oblewa jej rumieniec.

– Hm, powiedzmy, że trochę się na tym znam.

– Anne jest modelką – wtrącił Quinn, uważnie przyglądając się twarzy dziewczyny. – Czyż nie tak, Anne?

– Tak – skłamała. Cofnęła się i ukryła spłonioną twarz za obiektywem aparatu.

Loni czubkiem języka zwilżyła pełne wargi. Poprawiła włosy.

– Poproszę o ładny uśmiech – zawołała Anne. – Wspaniale! – uśmiechnęła się, chowając aparat.

– No, nie stójmy tak! Szkoda czasu! – klasnęła w pulchne dłonie tłusta

niewiasta, którą Quinn przedstawił Anne jako Mamę Chloe. – Wejdźmy do domu! Przygotowałam wam kawę i ciasteczka – dodała, biorąc Anne pod ramię i kierując się w stronę werandy.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – krygowała się dziewczyna.

– Jasne, że nie! – zapewniła ją Mama Chloe. – Poza tym jesteś pierwszą kobietą, którą Quinn tu przywiózł, a to oznacza, że jesteś dla niego kimś szczególnym. Skoro tak, my również cieszymy się, że tu jesteś.

– Dziękuję – uśmiechnęła się Anne. Była ciekawa, czy Quinn usłyszał słowa Mamy Chloe. Obejrzała się przez ramię, by to sprawdzić.

Mężczyzna szedł z tyłu, otoczony gromadką dzieci. Nawet jeśli dosłyszał tamtą uwagę, nie dał tego po sobie poznać. Dwóch najstarszych chłopców próbowało powalić go na ziemię, podczas gdy najmłodsze z dzieci, nieśmiała czarnooka dziewczynka ścisnęła go za rękę. Uniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się. W ciemnych oczach błyszczały wesołe iskierki.

Anne uśmiechnęła się z zadowoleniem. Nastawiła aparat. W tym samym momencie Quinn spuścił wzrok, a jego usta wykrzywił pełen goryczy grymas.

– Nie mam pojęcia, co sprawiło, że Quinn zmienił zdanie i zdecydował się jednak skorzystać z zaproszenia, ale cieszę się, że tak się stało – paplała wesoło Mama Chloe. – I cieszę się, że przywiózł ze sobą taką miłą dziewczynę jak ty.

Anne popatrzyła na nią zaskoczona.

– Zmienił zdanie? – powtórzyła wolno. – Nie bardzo rozumiem.

– Nieważne. – Lekceważąco machnęła pulchną dłonią Mama Chloe. – Jestem pewna, że miał swoje powody. Quinn nigdy nie robi niczego bez istotnego powodu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Luau zaczęło się o zachodzie słońca, w niewielkiej grotcie, jakieś pół mili od domu. W takich właśnie miejscach odbywały się wszystkie większe uroczystości plemienne, na długo przed przybyciem na wyspy pierwszego białego człowieka.

Grotę oświetlały płonące pochodnie. Rozesłane na ziemi maty z liści pandanusa służyły za stół i krzesła. Tradycyjne *poi* i inne potrawy o egzotycznie brzmiących długich nazwach podano na drewnianych tacach wykonanych z *kalabasa*. Mleczko kokosowe dla dzieci i domowe piwo zwane przez tubylców *okolehoa* serwowano w połówkach łupin orzecha kokosowego. Szerokie liście bananowca służyły za talerze. Nikt tu nie posługiwał się sztućcami. Dorośli i dzieci jedli pomagając sobie własnymi palcami.

Anne nigdy dotąd nie widziała tylu egzotycznych dań, ale przede wszystkim zajadała się owocami. Pierwsze ananasy pojawiły się na wyspach w osiemnastym wieku, przywiezione przez kapitana Cooka. Banany i soczyste mango, które najbardziej przypadły jej do gustu, należały do rodzimych płodów tej pięknej ziemi. Centralne miejsce na „stole” zajmował ogromny półmisek z imponujących rozmiarów pieczonym prosięciem.

Jako najważniejsi uczestnicy przyjęcia Loni i jej przyszły mąż siedzieli naprzeciwko siebie, po obu krańcach zaścieniających podłogę grotty mat. Anne siedziała mniej więcej pośrodku. Z jednej strony miała Quinna, z drugiej zaś Mamę Chloe, podsuwającą jej co smakowitsze z wnoszonych potraw.

Anne zerknęła ukradkiem na wyciągniętego wygodnie na trawie Quinna. Ciemna czupryna połyskiwała w rzucanym przez pochodnie blasku. Wydawał się całkowicie spokojny i odprężony. Ze zdziwieniem zauważyła, że zamiast piwa popija mleczko kokosowe. Czyżby *okolehoa* mu nie smakowało?

Ona sama początkowo bardzo nieufnie odniosła się do tradycyjnego polinezyjskiego trunku. Z trudem zmusiła się do przełknięcia kilku pierwszych łyków, ale po chwili ze zdumieniem stwierdziła, że ten ostry, cierpki smak przypadł jej do gustu.

Naprawdę świetne – pomyślała, sięgając po aparat i kierując obiektyw na uśmiechniętą twarz panny młodej. Dziewczyna ubrana była w tradycyjną białą suknię. We włosy miała wplecione kolorowe egzotyczne kwiaty.

– Zrób zdjęcie Cully’emu, zanim *okolehoa* wykrzywi mu twarz – zawołała wesoło Loni, uśmiechając się przez stół do przyszłego męża.

Anne od razu polubiła Cully’ego Haywarda. Pan młody był szczupłym, niskim chłopakiem o ciemnej, lekko przerzedzonej czuprynie i twarzy, którą jedynie matka lub bardzo zakochana kobieta mogłaby nazwać przystojną. Ale ujmujący uśmiech i życzliwe, czarne oczy czyniły ją prawie piękną.

Cully uniósł do ust łupinę orzecha i nie przestając się uśmiechać jednym haustem wychylił jej zawartość. Zebrani goście nagrodzili go za to głośnymi brawami.

Jacy mili ludzie – pomyślała Anne, rozglądając się po pogodnie uśmiechniętych twarzach. Weseli, przyjacielscy. Ciekawe, czy Quinn też kiedyś taki był? Czy uśmiechał się równie często i wesoło? Zerknęła na niego ukradkiem. Ich oczy spotkały się. Obserwował ją.

– Czy coś się stało? – spytał cicho.

– Zastanawiałam się właśnie, dlaczego nie pijesz? – odpowiedziała szeptem. – Czy to nie wbrew ogólnie przyjętym zwyczajom?

Na twarzy mężczyzny pojawił się lekki uśmiezek.

– Mam swoje własne zasady.

– Ja też – dodała, podnosząc do ust służącą jej za szklaneczkę łupinę orzecha. – Jedna z nich mówi, że podczas przyjęcia weselnego wszystkie pozostałe przestają obowiązywać.

Po przeciwnej stronie maty Tino, starszy brat panny młodej, wyjął ukulele i przystąpił do strojenia instrumentu. Ktoś inny uderzył w struny gitary. Po chwili wszyscy goście podchwycili melodyjną, choć nieco smutną jak na tak radosną okazję pieśń.

Anne przymknęła oczy, słuchając muzyki. Quinn wykorzystał ten moment i szybko rozejrzał się dookoła. Spokój. Chyba jednak nikt ich nie śledził. Całe szczęście. Odetchnął z ulgą, ale na wszelki wypadek postanowił mieć oczy i uszy szeroko otwarte. W swoim czasie poznał ludzi o niewiarygodnych wręcz umiejętnościach tropienia. Ludzi, którzy zawsze i w każdych warunkach potrafili wysledzić wroga. Kiedyś sam przecież do nich należał. Dawno temu. Zbyt dawno. Spędzone na ranczu lata przytępiły jego zmysły. Westchnął ciężko. Śmierć nie była mu straszna, ale nigdy nie darowałby sobie, gdyby coś złego stało się Anne.

Uważnym spojrzeniem obrzucił drobną twarz siedzącej obok dziewczyny. Jasne światło oświetlających grocie pochodni podkreśliło fioletowe cienie pod jej oczami, ostrą, wysuniętą do przodu bródkę, za szerokie usta. A jednak dla niego była to najpiękniejsza na świecie twarz. Tak delikatna, tak kobieca... Jej widok zapierał mu dech w piersi i napełniał serce niewysłowioną wprost czułością. Pragnął zapomnieć się w niej. Pogrzebać na zawsze dręczący go od lat ból i upokorzenie.

– Quinn?

– Tak?

Anne potrząsnęła trzymaną w ręku pustą łupiną orzecha i popatrzyła na niego prosząco.

– Jeszcze tylko jeden maleńki łyeczek, dobrze? – uśmiechnęła się, oblizując ze smakiem.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Jeszcze tylko jeden mały łyżeczek i nie będziesz w stanie utrzymać się na nogach – zamruczał. – Że nie wspomnę o robieniu zdjęć.

Kiwając się w rytm muzyki Anne popatrzyła na najbliższą pochodnię. Jak zaczęła podwójnie widzieć, to przestanę – obiecała sobie w duchu.

– Zdarzało mi się już pić mocniejsze rzeczy – pochwaliła się.

– Tak?

– A tak. Kiedy byłam w Brazylii, piłam krew kozła. Smakuje wstrętne, ale Indianie, którzy nas gościli, byli tacy mili, że nie chciałam ich urazić. Wypiłam do dna. Oczywiście ciężko to potem odchorowałam.

– Żebyś tylko nie mówiła, że cię nie ostrzegałem – mruknął sięgając po tytkę z piwem. Napełnił orzech do połowy i odstawił naczynie.

– No, nie bądź taki skąpy – zaśmiała się Anne. Quinn potrząsnął głową, ale ponownie sięgnął po naczynie i dopełnił łupinę.

– Straszny z ciebie uparciuch. Zobaczysz, nie wyjdzie ci to na zdrowie.

Obserwując go uważnie, Anne dostrzegła w ciemnych oczach wesołe iskierki śmiechu. Quinn Sinclair, jeśli chciał, potrafił być naprawdę uroczym człowiekiem.

– A ty nie jesteś uparty?

Mężczyzna lekko przechylił głowę i popatrzył na nią z uśmiechem na ustach. Na tych samych ustach, które całowały ją dziś rano.

– Już dawno przekonałem się, że nie każda przyjemność jest warta ceny, jaką trzeba potem zapłacić. Jak widać, nie doszłaś jeszcze do tego etapu.

Anne jednym haustem wychyliła zawartość łupiny.

– Nie sądzisz, że wybór należy do mnie samej?

– Owszem – zgodził się. – Oczywiście pod warunkiem, że zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz. – Podniósł się z maty, wyciągając w jej stronę dłoń. – No, na nas już czas.

Mama Chloe popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nie możecie jeszcze odejść – zaprotestowała. – Zaraz zaczną się tańce.

Anne odniosła wrażenie, że Quinn dobrze o tym wiedział. Dlaczego nie chciał, żeby obejrzała tańce? Czyż nie po to tu przyjechali?

– Myślę, że powinniśmy już się położyć. Anne miała ciężki dzień i jest zmęczona.

– Wcale nie! – zaprzeczyła dziewczyna. – Świetnie się bawię i za nic nie chciałabym opuścić tańców.

– Ależ z ciebie uparciuch. – Quinn z ciężkim westchnieniem opadł z powrotem na matę. – I jak tu się tobą opiekować!

Słowa Mamy Chloe wywołały wśród gości małe zamieszanie. Umilkła muzyka. Trzech mężczyzn podniosło się od „stołu” i zniknęło w otaczających grotę zaroślach. Dwóch innych odeszło, by za chwilę powrócić niosąc różnych

kształtów bębny. Część zrobiona była z wydrążonych w środku pni drzew, na które naciągnięto wysuszoną skórę rekina. Inne były po prostu wielkimi, pustymi tykwami.

Mężczyźni ustawili bębny przed sobą. Jedna z kobiet wstała i podeszła do przyniesionych przez nich instrumentów. Kiedy wracała na miejsce, jej krokom towarzyszyło rytmiczne stukanie.

– A to co? – Anne popatrzyła na Quinna pytającym wzrokiem.

– *Uliuli*. Polinezyjska odmiana kastanietów – poinformował ją.

Mama Chloe uniosła w górę pulchną dłoń i grotę wypełniło rytmiczne dudnienie. Anne poczuła, jak serce bije jej coraz szybciej, dostosowując swój rytm do bicia bębnów. I wtedy właśnie z ciemności wynurzyły się trzy postacie. Ich ciemna skóra połyskiwała w blasku oświetlających grotę pochodni. Byli prawie nadzy, nie licząc owiniętej wokół bioder tradycyjnej przepaski. Ich szybkie, gwałtowne ruchy znamionowały taniec wojenny. Anne wyczytała w jakimś przewodniku, że taniec ten pełen jest symboli. Tancerze wymachiwali rękami symulując uderzenia ostrej włóczni, kopali niewidocznego wroga, zadając mu śmiertelne rany.

Anne oddychała szybko. Ten taniec naprawdę robił wrażenie. Chętnie uwieczniłaby go na fotografii, ale obawiała się, że najmniejszy ruch mógłby przeszkodzić tańczącym. Wychyliła się do przodu. Szeroko otwartymi oczami chłonęła każdy najdrobniejszy szczegół tego fascynującego widowiska.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, rytm się zmienił. Tempo było teraz dużo wolniejsze, ruchy tancerzy stały się bardziej płynne, leniwe. Łagodne i pełne wdzięku mówiły o miłości, nie o zabijaniu. Obiecywały rozkosz, nie śmierć.

Dziewczyna zadrżała. Po plecach przeleciał jej przyjemny dreszczyk podniecenia. Zerknęła ukradkiem na siedzącego obok mężczyznę. Ich spojrzenia spotkały się. Pośpiesznie odwróciła wzrok, przestraszona pożądaniem płonącym na dnie ciemnych jak bezksiężycowa noc oczu Quinna.

Jeden z tańczących mężczyzn zbliżył się do siedzących i wyciągnął dłoń w stronę młodej, ciemnoskórej kobiety. Drugi poszedł za jego przykładem i wkrótce tańczyły już dwie pary. I wtedy właśnie trzeci mężczyzna znalazł się nagle naprzeciw Anne. Zapraszał ją do tańca.

Jak zaczarowana podniosła się z maty i pozwoliła zaprowadzić się na środek. Świat zawirował. Muzyka była w niej samej. Wolność – pomyślała. To było to, co posiadali nasi przodkowie, a czego my wyrzekliśmy się na rzecz cywilizacji. Nie skrzepowana żadnymi niemądrymi zasadami wolność wyrażania swoich uczuć. Z na wpół przymkniętymi oczami dała się ponieść cudownemu, upajającemu rytmowi. Serce waliło jej w piersiach jak oszalałe. Wydawało jej się, że to Quinn trzyma ją w ramionach, zaprasza do miłości.

Potknęła się, zachwiała. Przytrzymały ją czyjeś silne ramiona. Gwałtownie zamrugała powiekami. Rozejrzała się dookoła, by podziękować swemu

wybawcy, i jej wzrok napotkał znajome ciemne oczy. Wstrzymała oddech. Czy naprawdę ujrzała w nich tę żalostną tęsknotę? Czy to jego usta pochylały się do jej warg?

Zadrzała. Poczwała, jak miękną jej kolana. W obawie przed upadkiem złapała za rękaw jego koszuli. Przez cienki materiał wyraźnie czwała gorące ciało. Z piersi mężczyzny wyrwało się ciche westchnienie. Nie namysławiając się długo, pochwyił Anne w ramiona i wyniósł z jasno oświetlonego kręgu w otaczającą grotę ciemność.

Anne przytuliła policzek do szerokiej, muskularnej piersi. Ukołysana rytmicznym ruchem jego ciała prawie zasypiała, gdy nagle pocwała, że opada na coś miękkiego. Łóżko?!

Nad sobą ujrzała upleciony z trawy dach. Tak jak obiecywał, znalazła się w jednej z tradycyjnych hawajskich chatek, którymi Mama Chloe postanowiła przyciągnąć tu turystów. Obok łóżka stał Quinn i przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Jesteś na mnie zły? – spytała cicho, patrząc bojaźliwie w ciemne oczy.

– Ja?

– Czy to dlatego, że tańczyłam?

– Tak uważasz? Anne usiadła na łóżku.

– Świetnie się dziś bawiłam.

Jasne włosy złotą kurtyną opadały jej na ramiona. Policzki zarumieniły się z podniecenia, oczy błyszczały. Quinn pocwał, że zaczyna brakować mu powietrza.

– Idź spać, Anne – powiedział cicho. – Już późno. Anne rozejrzała się dookoła. W chatce było tylko jedno łóżko. To, na którym siedziała.

– A gdzie ty będziesz spał?

– Na podłodze.

– Dlaczego?

– Myślę, że powinniśmy odłożyć tę rozmowę do jutra. Nie chcę, żebyś podejmowała decyzje, których potem będziesz żałować.

– Wiesz, myślałam o tobie – powiedziała cicho. – Kiedy tańczyłam. Chcę się z tobą kochać, Quinn. Teraz.

Mężczyzna przysiadł na łóżku obok niej. Serce biło mu jak szalone.

– Niczego ci nie obiecuję, Anne. Jedyne, co mogę ci ofiarować, to ta jedna noc.

– Nie proszę o nic więcej – odpowiedziała miękko.

Z piersi Quinna wyrwało się ciche westchnienie.

– Zadbam o to, żebyś nie miała kłopotów.

Gdy to mówił, głos drzał mu lekko. Czyżby bolesne wspomnienia? – pomyślała Anne, obrzucając go uważnym spojrzeniem.

– Nie musisz się tym martwić. Jestem na pigułkach.

Zanim poznała Quinna, uważała tabletki za niepotrzebny kłopot. Teraz była głęboko wdzięczna swemu lekarzowi, że namówił ją na nie. Jeden po drugim, wolno rozpiniała guziki jego koszuli. Wsunęła dłonie pod cienki materiał. Jego skóra była zaskakująco gładka i delikatna.

Quinn patrzył wprost w rozszerzone pożądaniami zielone oczy dziewczyny. Słyszał jej przyspieszony oddech.

– Zaufaj mi, proszę, Quinn – szepnęła. – Nie skrzywdzę cię.

Quinn poczuł, jak wzbiera w nim pożądanie. Uniósł jej dłoń do swoich ust i ucałował po kolei końce jej drżących palców.

– Obejmij mnie – poprosiła cicho. – Chcę zapomnieć o... wszystkim.

– Nawet już nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłem z kobietą. Nie chciałbym cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdzisz mnie. Ufam ci, Quinn.

– Oboje musimy sobie ufać – powiedział z ustami przy jej policzku. Jego gorący oddech parzył jej skórę. – Jesteś taka słodka – zamruczał, całując ją delikatnie za uchem.

Anne przekręciła głowę, szukając jego ust. Drżała z niecierpliwości. Chciała czuć go całą sobą, dotykać, pieścić, całować. Twarde wargi mężczyzny zamknęły się na jej ustach. Jego dłonie stały się bardziej natarczywe. Z piersi Anne wyrwał się cichy okrzyk rozkoszy, kiedy duże, ciepłe dłonie zatrzymały się na jej piersiach, pieszcząc nabrzmiałe sutki.

– Tak! O tak! – powtarzała z ustami na jego wargach.

Jakby w odpowiedzi na tę prośbę, przytulił ją mocniej. Z trudem panował nad sobą.

– Spokojnie. Powoli – uśmiechnął się między pocałunkami. – Inaczej za chwilę będzie po wszystkim.

Anne odwzajemniła jego uśmiech. Quinn drżącymi z niecierpliwości palcami rozpinął jej cienką koszulę, napawając się widokiem jej doskonałego ciała, aksamitem opalanej na złoty brąz skóry. Pochylił głowę do jej piersi. Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Jednym szybkim ruchem uwolnił się z reszty krępującego go ubrania. Anne zdjęła spodnie. Wsunęła palce za gumkę koronkowych majteczek.

– Zaczekaj – powstrzymał ją. – Pozwól, że ja to zrobię.

Ucałował jej płaski brzuch, po czym powoli zsunął koronkową bieliznę. Anne zadrżała lekko. Wyciągnęła do niego ręce. Wąskie łóżko ugięło się pod jego ciężarem. Dłonie Quinna niecierpliwie przesuwają się po jej ciele, bezbłędnie odkrywając najbardziej wrażliwe miejsca. Raz po raz oblewały ją gorące fale pożądania. Była gotowa.

Quinn westchnął ciężko. Nie potrafił już dłużej czekać. Uniósł się lekko i wszedł w wilgotną, ciepłą miękkość jej ciała. Anne zacisnęła ramiona na jego szyi i bez reszty oddała się we władanie słodkich zmysłów.

Leżeli spleceni ramionami. Ciemna głowa mężczyzny spoczywała na jej piersiach. Anne wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała lśniąca czuprynę. Uśmiechnęła się leciutko. Już dawno nie czuła się tak dobrze, tak bezpiecznie. Przemoc, nienawiść i ból zdawały się być tak daleko. Kiedy tak leżała przytulona do silnego, muskularnego ciała, nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

– Mmmm... cudownie – szepnęła, przekręcając się na drugi bok.

Uniósł głowę i obrzucił ją niespokojnym spojrzeniem.

– Wszystko w porządku?

– Nie mogłoby być lepiej – uśmiechnęła się Anne.

– I nie żałujesz?

– Nie żałuję. Jeśli chcesz, potrafisz być naprawdę miły. Quinn zmarszczył brwi.

– To nieprawda. Wcale nie jestem miły. Dziewczyna potrząsnęła głową. – Jesteś. I jesteś też bardzo wrażliwy, tylko nie chcesz, żeby inni o tym wiedzieli – powiedziała cicho, całując szorstki od zarostu policzek.

– Mylisz się, Anne. A poza tym, cóż mógłbym ci zaoferować? – westchnął ciężko. – Żałuję, że tak się stało. Nie powinienem był do tego dopuścić.

– Myślę, że masz do zaoferowania dużo, dużo więcej niż ci się wydaje. Dużo wspaniałych, cudownych rzeczy.

– Jesteś szalona, Anne. Naprawdę szalona.

– Nie – roześmiała się. – Po prostu jestem szczęśliwa. Życie jest takie piękne, kiedy nie dręczą nas żadne koszmary – Quinn zeszywniał. Pomyślał o mordercach z Aryan American Brigade, którzy na nią polowali. Na jego Anne. Poczul wzbierający w nim gniew. Dranie! Nigdy jej nie dostaną! A przynajmniej dopóki on żyje! Przekręcił się na bok i mocniej przytulił ją do piersi.

– Śpij, *ipo* – szepnął, całując pachnący policzek. Anne wyteżyła pamięć, przypominając sobie wszystkie hawajskie słówka, jakie udało jej się wyszukać w przewodniku. *Ipo*? To chyba znaczy „skarbie” – pomyślała. Powiedział do niej: skarbie!

Obudziła ją cisza. Już dawno nie czuła się tak wspaniale. Na samo wspomnienie ostatniej nocy jej policzki oblały się ciemnym rumieńcem. Świtało. Ostrożnie odwróciła głowę i popatrzyła na leżącego u jej boku mężczyznę. Spał, wygodnie ułożony na plecach. Jedną rękę wsunął pod poduszkę, drugą zaś oparł na jej udzie, jakby nawet we śnie nie chciał tracić z nią kontaktu. Szeroka pierś unosiła się i opadała w równym, spokojnym oddechu. Anne leżała bez ruchu, uważnie przyglądając się śpiącemu. Policzki i brodę ocieniał gęsty zarost. W przeciwieństwie do niej, nie miał żadnych blizn. Silne, zgrabne ciało było wolne od śladów cierpienia, ale Anne dobrze wiedziała, że jego rany są wewnątrz i należą do tych, których leczenie trwa bardzo, bardzo długo i nie zawsze kończy się sukcesem.

Myślała o zżerającej go goryczy i upokorzeniu, o długich latach

samotności, na jaką skazał samego siebie. Westchnęła ciężko. Dziś w południe wezmą udział w uroczystych zaślubinach Loni i Cully'ego. Razem spełnią toast za szczęście młodej pary. Być może uda im się spędzić jeszcze jedną noc w tym zaczarowanym, zapomnianym przez cywilizację miejscu. Ale co potem?

Jakby w odpowiedzi na to nieme pytanie śpiący u jej boku mężczyzna poruszył się niespokojnie. Zmarszczył brwi i zamruczał coś niewyraźnie. Anne chciała ucałować naznaczone cierpieniem usta i odpędzić dręczące go koszmary, ale zabrakło jej odwagi. Na dobrą sprawę ten człowiek był dla niej zupełnie obcy. Znał jedynie jej ciało. Nic o niej nie wiedział. Uważał ją za jedną z tych zarozumiałych, bogatych miejskich damulek, takich samych jak jego była żona. Nagle ogarnął ją strach. Powiedziała mu przecież, że może jej zaufać. Co stanie się, kiedy Quinn pozna całą prawdę o niej?! Kiedy dowie się, że go okłamała?!

Franklyn nie miał racji. Powinien był opowiedzieć przyjacielowi o całej sprawie. Może nie jest jeszcze za późno? Tak. Kiedy tylko Quinn się obudzi, sama mu wszystko opowie. Pal diabli całe to gadanie Franklyna o bezpieczeństwie!

Położyła rękę na prześcieradle i ostrożnie wsunęła palce pod poduszkę, szukając dłoni Quinna. Chciała go dotknąć, poczuć ciepło jego skóry. Jednak zamiast ciepłego ludzkiego ciała jej palce napotkały coś twardego i zimnego. Zmarszczyła brwi, szarpnęła lekko i zeszywniała. Pod poduszką leżał rewolwer. Duży, ciężki i w dodatku naładowany.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Poczuła, jak robi jej się słabo. Bała się nawet swobodniej odetchnąć. Ostrożnie usiadła na łóżku. Manewrując jedną ręką owinęła się prześcieradłem. W drugiej kurczowo ścisnęła rewolwer.

Odetchnęła głęboko. Spokojnie! Tylko spokój może ją uratować. Jeszcze raz przeanalizowała całą sytuację. Pod poduszką leżał naładowany rewolwer. I co z tego? Wielu mężczyzn nigdy nie rozstaje się z bronią w obawie przed jadowitymi wężami czy też dzikimi zwierzętami. Tylko że na Hawajach nie było jadowitych węży ani dzikich zwierząt. Żadnego zagrożenia. No, może z wyjątkiem ludzi.

– Quinn? Obudź się, Quinn!

Mężczyzna westchnął ciężko. Wolno rozchylił powieki. Błyszczące w ciemnych oczach radosne iskierki zgasły na widok wymierzonego w jego pierś rewolweru.

– Anne, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że ten rewolwer jest naładowany?

– Tak.

Broń coraz bardziej ciążyła jej w ręku. Nic dziwnego. W magazynku znajdowało się sześć śmiertelnych, odlanych z ołowiu kul. Czubkiem języka zwilżyła wyschnięte wargi.

– Czy zawsze podróżujesz z naładowanym rewolwerem?

– Nie. Nie zawsze.

Mierzył ją baczny spojrzeniem. Nie wiedział, jak wybrnąć z tej głupiej sytuacji. Anne trzymała palec na spuście. Wystarczył jeden ruch, by ostra kula wyrwała w jego piersi dziurę wielkości pięści dorosłego człowieka.

– W takim razie co robiła ta broń pod twoją poduszką?

– Oddaj mi go, a zaraz ci wszystko opowiem.

– Nie. – Anne przecząco pokręciła głową. – Najpierw mi wszystko opowiesz, a potem ci go oddam.

Zmarszczył brwi.

– Widzisz, Anne, wiem, kim naprawdę jesteś i co tu robisz.

Trzymająca rewolwer ręką zadrżała. Dziewczyna patrzyła na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

– Skąd... skąd to wiesz? – wykrztusiła.

– Eddie Franklyn mi powiedział. Zbladła.

– Nie wierzę. Ed nie zrobiłby tego. Kazał mi obiecać, że nic ci nie powiem.

– Jeśli chcesz, możemy do niego zadzwonić. Zielone oczy zmierzyły go podejrzliwie.

– Przecież tu nie ma telefonu.

– Pójdziemy do bungalowu. Mama Chloe ma telefon.

– Dobrze. – W głosie Anne pojawiło się wahanie. – Tylko najpierw muszę się ubrać. Nie ruszaj się, dopóki ci nie powiem – ostrzegła, podnosząc się z łóżka.

Jej rzeczy leżały na podłodze, razem z ubraniami Quinna. Ściskając rewolwer w jednej ręce, drugą podtrzymywała opadające prześcieradło. Pochyliła się. Zachwiała. Nim zdążyła zareagować, mężczyzna jednym susem wyskoczył do przodu, chwytając ją za nadgarstek i unosząc dłoń z rewolwerem do góry. W tej samej chwili broń wypaliła. Anne krzyknęła i wypuściła rewolwer z bezwładnych palców.

– Mało brakowało, a zabiłbyś nas oboje! – wybuchnęła.

– Ja?! Czyś ty oszalała, kobieto?! To nie ja wymachiwałem rewolwerem. Powinnaś wiedzieć, że broń to nie zabawka.

– Miałam swoje po...

Resztę jej słów zagłuszył narastający hałas. Znajomy, wysoki ton. Helikopter?!

– Ubieraj się! Szybko! – zawołał Quinn, popychając ją w stronę łóżka.

Sam pośpiesznie wciągnął spodnie. Narzucił koszulę.

– O co chodzi? – Anne popatrzyła na niego zaskoczona.

– Nie słyszałaś? – wskazał na niebo. – Mogą to być przyjaciele, ale równie dobrze mogą być i wrogowie. Nie mam zamiaru ryzykować.

Zapinając guziki koszuli ruszył do drzwi.

– Uważaj! – krzyknęła za nim Anne, ale był już na zewnątrz. Dobry Boże! – przestraszyła się. – A jeśli coś mu się stanie?!

Zagryzła wargi. W gardle narastał jej krzyk. Sięgnęła po bieliznę. Ubierała się tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to trzęsące się ręce. Właśnie wciągała buty, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka wpadł Quinn.

– Na ziemię! – krzyknął, rzucając się na Anne i przykrywając ją własnym ciałem. Potoczyli się pod łóżko.

W tej samej chwili powietrze przeszył ostry świst. Ołowiane pociski odbiły się od metalowych sprężyn łóżka. Gęsto uderzały o podłogę niby ogromny, śmiercionośny grad. Trzasnęły szyby, z dachu posypały się żdźbła trawy.

Anne próbowała krzyczeć, ale głos zamarł jej w gardle.

Zacisnęła palce na ramieniu mężczyzny. Już pożegnała się z życiem, kiedy nagle strzały umilkły. Odetchnęła głęboko, ale nadal bała się poruszyć.

– Nic ci się nie stało? – spytał cicho Quinn. Czowała na szyi jego gorący oddech.

Dziewczyna przecząco pokręciła głową.

– Czy oni... czy oni już odlecieli? – wykrztusiła przez ściśnięte strachem gardło.

Uniósł głowę. Przez chwilę uważnie nasłuchiwał. – Wygląda na to, że tak, ale lepiej poczekajmy jeszcze parę minut.

– Dzięki Bogu! – westchnęła ciężko.

Bóg nie ma z tym nic wspólnego – pomyślał Quinn, uśmiechając się cynicznie w duchu. Cóż go obchodzą tacy zwykli śmiertelnicy jak my!

– To byli ludzie Draygona, prawda? – spytała cicho.

– Chyba tak. Musieli nas śledzić. To moja wina – zaklął cicho. – To wszystko moja wina. Chciałem wyruszyć w dalszą drogę jeszcze przed świtem, ale... zasnęłam.

– Wiedziałeś, że mogą nas śledzić, prawda?

– Hm, no cóż, powiedzmy, że liczyłem się z taką ewentualnością – wyznał niechętnie.

– Skąd wiedziałeś? – nalegała.

– Dzwonił Eddie.

– Kiedy?

– Wczoraj. Rano.

Anne wyswobodziła się z jego ramion. Cała aż trzęsła się z oburzenia.

– Więc to dlatego zabrałeś mnie tutaj, co? Żeby mnie chronić? Wcale nie pragnąłeś mojego towarzystwa! Spełniałeś jedynie swój obowiązek, a ta noc... To była jedynie nieoczekiwana premia, co?

W ciemnych oczach Quinna błysnął gniew.

– Myślałem, że zdajesz sobie z tego sprawę.

– Doprawdy? – Anne nie kryła goryczy.

Tak będzie lepiej – pomyślał, choć z trudem powstrzymał się, by nie porwać jej w ramiona i nie ucałować tych pełnych smutku zielonych oczu.

– Chyba wszystko sobie wyjaśniliśmy. Uprzedzałem cię, żebyś nie robiła sobie żadnych nadziei. Niczego ci nie obiecywałem. Wybór należał do ciebie. Podniósł się z podłogi i otrząpał spodnie z kurzu. Rozejrzał się dookoła. Chatka była niemal całkowicie zniszczona. Rozbite meble, podziurawione kulami ściany.

Anne ostrożnie wysunęła się spod łóżka.

– Aż dziw, że jesteśmy cali – powiedziała cicho.

– O, tak. Mieliśmy dużo szczęścia.

– Oni tu wrócą, prawda?

Quinn obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Była bardzo blada, ale sprawiała wrażenie zupełnie spokojnej. Miał nadzieję, że jest na tyle silna, by znieść prawdę, w przeciwnym razie oboje znajdą się w poważnych tarapatach.

– Prawdopodobnie właśnie w tej chwili lądują jakieś sześć mil stąd. Jest tam taka mała łączka. Jeśli są tak dobrzy, jak myślę, wrócą tu niedługo, żeby upewnić się, czy misja się powiodła. Mamy godzinę, a może nawet mniej, żeby znaleźć się jak najdalej stąd.

– A co z... Mamą Chloe? I z innymi? Musimy ich ostrzec. Musimy... coś zrobić – gorączkowała się dziewczyna. Ruszyła do drzwi.

Quinn pochwycił ją za ramiona.

– Spokojnie, skarbie! Anne szarpnęła się nerwowo.

– Puść mnie! To wszystko moja wina! Nie mogę pozwolić, by stało się im coś złego.

Quinn ciaśniej otoczył ją ramionami.

– Anne, ci ludzie to zawodowcy – tłumaczył. – Mieli do wykonania określone zadanie. Nikt inny ich nie obchodzi.

– Ale...

– Dopóki będziemy trzymać się od nich z daleka, Mama Chloe i wszyscy inni będą całkowicie bezpieczni.

Anne podniosła na niego przerażone oczy.

– To... zupełnie tak samo jak w moim śnie – wykrztusiła. – Ja chcę się obudzić, Quinn!

Zacisnął zęby.

– Ja również, Anne. Ja również.

Gorące, twarde wargi zamknęły się na jej ustach. Silne ramiona zacieśniły uścisk. Anne rozchyliła usta. Zadrzała. Tym razem nie był to już strach, ale słodkie, obezwładniające pożądanie.

Niechętnie wypuścił ją z ramion. Zdawał sobie sprawę, że najmniejsza zwłoka działa na ich niekorzyść. Musieli jak najszybciej opuścić wioskę, bo od tego zależało ich życie.

– Jak uważasz, dasz radę pojechać teraz konno? – spytał cicho. – Jakiś dzień drogi stąd, na południe, jest małe miasteczko, a w nim posterunek szeryfa. Tam będziemy bezpieczni.

Anne potakująco kiwnęła głową.

– Było cudownie, Quinn, ale masz rację, powinniśmy już jechać.

Mężczyzna ujął ją za rękę, drugą chwycił torby. Nie oglądając się za siebie, opuścili chatkę.

– I pomyśleć, że kiedyś tak lubiłam deszcz – westchnęła ciężko Anne. – Tylko że wtedy siedziałam sobie przy kominku, w ciepłych kapciach, chrupiąc ciasteczka i popijając gorącym mlekiem.

Oparłszy brodę na kolanach, patrzyła na spływające po liściach krople.

– Osobiście wolałbym szklaneczkę brandy i cygaro – zamruczał Quinn nie otwierając oczu.

– W tym momencie nie miałabym nic przeciwko cygarom – uśmiechnęła się. Schronili się w starej, utworzonej przez spływającą z gór lawę grocie. Było późne popołudnie. Niebo zaciągnęły czarne chmury. Zanosilo się na dłuższy deszcz. Nim udało im się znaleźć to schronienie, przemokli do suchej nitki. Wprawdzie w grocie Anne zmieniła ubranie na suche i osuszyła nieco włosy, ale nie mogła nic poradzić na bolesne ssanie w żołądku.

– Czy to jeden z tych, jak im tam, monsunów? Quinn otworzył oczy. Posępnym spojrzeniem obrzucił ścianę deszczu.

– Monsuny zdarzają się latem – mruknął. – Ten deszcz to cholerny pech.
– Jesteś pewien, że to bezpieczne? Myślę o tym postoju.
– Bezpieczne czy nie, nie mamy innego wyjścia. Nie chcę ryzykować, że konie ugrzęzną w bagnie.

– Skoro to takie niebezpieczne, to może nasi prześladowcy też zrezygnują z pościgu. Jak myślisz? – popatrzyła na niego z nadzieją.

– To zależy.

– Od czego?

– Jaki środek lokomocji obrali. Gdybym był na ich miejscu, najpierw zorientowałbym się, gdzie skierował się cel, a potem pilnowałbym go przy pomocy helikoptera.

– Cel?! – powtórzyła z goryczą. – A więc jestem, tak po prostu, celem...

Quinn uważnym spojrzeniem obrzucił pobladłą twarz dziewczyny.

– Dla nich tak.

Anne popatrzyła na niebo. Ciemne chmury wisiały tak nisko nad ziemią, że zdawały się dotykać czubków drzew. Chyba nie była to najlepsza pogoda na lot helikopterem.

– Sprawiałam ci masę kłopotów, prawda? – szepnęła nieśmiało.

– Tak.

– Przepraszam.

– Nie musisz przeproszać. Wiesz, Anne, dzielna z ciebie dziewczyna. Eddie opowiedział mi całą tę historię. Wątpię, czy odważyłbym się stanąć twarzą w twarz z tymi bandytami, mając za całe uzbrojenie jedynie aparat fotograficzny.

Anne popatrzyła na niego zaskoczona. Skąd wziął się ten blask w jego oczach? I ten pełen czułości ton? Czyżby to była miłość? Chciała w to wierzyć, lecz zabrakło jej odwagi – Czy bałeś się kiedyś? Ale tak naprawdę – spytała cicho.

– Owszem.

– Opowiesz mi o tym?

– Kiedyś, nurkując w oceanie, spotkałem się oko w oko z rekinem, który zastanawiał się, czy zjeść mnie na obiad, czynie.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Starłem się przybrać jak najmniej apetyczny wygląd. Anne roześmiała się rozbawiona.

– Jak widać, poskutkowało.

– Jak widać.

Podniosła się. Nie potrafiła już dłużej siedzieć bez ruchu. Podeszła do wyjścia i wystawiła na zewnątrz otwartą dłoń. Deszcz przyjemnie chłodził rozpaloną skórę. Napełniła wodą dłoń, po czym uniosła ją do ust.

– Dobra – mruknęła. – Oczywiście nie tak dobra jak wczorajsze *okolehoa*. Było naprawdę wyśmienite. Powinieneś być chociaż spróbować.

– W swoim czasie wypilem całe morze.

– Nie wątpię – uśmiechnęła się.

Obserwując ją Quinn zastanawiał się, co sprawiło, że nie był w stanie jej się oprzeć. Nawet nie próbował. Wstał i przeciągnął się leniwie. – Fatalny dzień na ślub – zauważył.

Anne zeszywniała.

– Mam nadzieję, że oni... że nic złego się im nie przytrafiło – wyjąkała.

Mężczyzna uspokajająco poklepał ją po ramieniu.

– Choć może wyda ci się to trochę dziwne, ci bandyci mają swoiste poczucie sprawiedliwości.

Odetchnęła z ulgą.

– *A propos*, gdzie my właściwie jesteśmy? – ciekawie rozejrzała się dookoła.

– Miejscowi nazywają to *puuhonua*. To coś w rodzaju świętego miejsca – wyjaśnił. Podeszedł bliżej, objął dziewczynę i przytulił do swej szerokiej, muskularnej piersi.

– Jak kościół?

– Powiedziałbym, że to raczej coś w rodzaju azylu, choć, oczywiście, przebywał tu i kapłan – wyjaśnił. – W dawnych czasach, kiedy ktoś złamał tapu, depcząc cień wodza lub jedząc zakazane potrawy, skazywano go na śmierć. Zwykle przez ukamienowanie.

– Dobry Boże! – mruknęła Anne. – Nie mieli chyba problemów ze wzrostem przestępczości.

Uśmiechnął się rozbawiony.

– Więcej niż ci się wydaje. Ale nawet wtedy istniało coś w rodzaju wyższej instancji odwoławczej.

– Tak?

– Jeśli skazanemu udało się dotrzeć do tego miejsca, kapłan oczyszczał go z winy. To samo dotyczyło zbiegłych więźniów i... okrytych hańbą wojowników.

– Tak po prostu puszczano ich wolno?

– Właśnie tak. Kiedyś wszystko było dużo... prostsze. Zamilkł. Anne wiedziała, że myśli o swojej przeszłości.

– Czy dlatego właśnie wróciłeś na ranczo? – spytała cicho.

– Czy szukałeś tam schronienia, po tym, jak...

– Kto ci powiedział?

– Meg, ale nie gniewaj się na nią, proszę. Ona chciała jedynie, żeby łatwiej mi było cię zrozumieć.

– Tylko Meg mogła wpaść na taki idiotyczny pomysł.

– Usta Quinna wykrzywił gorzki grymas.

– Każdemu zdarza się popełnić w życiu jakiś błąd – powiedziała miękko Anne. – Jesteśmy tylko ludźmi.

– O tak! Dobrze o tym wiem. Zwłaszcza kiedy jestem przy tobie. –

Przysunął się bliżej. – Twoja obecność sprawia, że tracę nad sobą panowanie i robię rzeczy, których nie powinienem robić.

Całował ją delikatnie. Jego ciepłe dłonie pieściły jej szyję, ramiona, piersi. Pragnął nauczyć się jej na pamięć. Zachować na zawsze.

Anne przywarła mocno do jego silnego ciała. Może to ich ostatnie chwile – pomyślała. Ostatnia okazja, by się kochać.

Quinn ciaśniej otoczył ją ramionami. Ponad dwa wieki minęły od czasów, gdy jego wyspiarscy przodkowie chwycili za włócznie, by bronić swych rodzin. On czuł teraz dokładnie to samo. Był gotów poświęcić dla niej życie. Anne była dla niego czymś więcej niż rodziną. Była częścią jego samego.

Deszcz ustał. Powietrze pachniało świeżością.

– Jak cudownie – szepnęła, otwierając oczy.

– Cudownie – przytaknął, pochylając się ku jej ustom.

Wolno rozpinał guziki jej koszuli.

– Pośpiesz się – ponagliła go.

– Nie ma mowy. – Quinn przecząco pokręcił głową. – Te chwile muszą mi wystarczyć na bardzo, bardzo długo – uśmiechnął się, sięgając do zapięcia jej biustonosza. Lekki wietrzyk przyjemnie chłodził rozpaloną skórę. Poczula ciepłe dłonie na swoich piersiach. Quinn cofnął się. Zdejmował koszulę. Anne pochylała się, by ucałować szeroką, pokrytą gęstymi, ciemnymi włoskami pierś. Quinn zacisnął usta, by powstrzymać narastający mu w gardle okrzyk rozkoszy. Pragnął jej. Mocno. Aż do bólu. I nie potrafił już dłużej czekać.

Rozpiął zamek jej dzinsów i wsunął dłoń pod cienkie majteczki. Poruszyła się niespokojnie. Otoczyła ramionami szyję mężczyzny, by przyciągnąć go bliżej, ale Quinn nie poddał się temu żądaniu. Wsunął palce w miękką wilgoć jej ciała. Anne jęknęła cicho.

Quinn pośpiesznie uwolnił się z ubrania. Nie spuszczać wzroku z jej twarzy, uniósł się lekko i wszedł w nią ostrożnie, powoli. W zielonych oczach szukał potwierdzenia tego wspaniałego, niesamowitego uczucia, które rozpierało mu piersi.

Potem leżeli przytuleni, oddychając ciężko, jak po długim, męczącym biegu.

– Dopóki tu jesteś, należysz tylko do mnie – powiedział cicho Quinn. Czują na szyi jego gorący, przyspieszony oddech. – Zabiję każdego, kto będzie próbował cię skrzywdzić.

– Tak. Jestem tylko twoja – zamruczała sennie Anne, przytulając policzek do jego piersi.

!

Quinn ciaśniej otoczył ją ramionami. Kiedy Anne była przy nim, zapominał o hańbie i upokorzeniu. Nic nie mąciło jego szczęścia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Obudził go znajomy warkot Spojrzał w górę. Helikopter. Bardzo sprytnie – pomyślał. Zawodowcy. Gdyby drzewa nie były tu tak gęste, już dawno on i Anne pożegnali by się z życiem. Deszcz ustał na długo przed świtem. Gdyby był sam, osiodłałby konia i zaryzykował jazdę po ciemku.

Popatrzył na śpiącą obok dziewczynę. Jego ramię służyło jej jako poduszka. Złote włosy w splątanych kosmykach opadały na ogorzałą od słońca twarz. Opuszczając w pośpiechu zniszczoną chatkę Anne zapomniała kapelusza, a nie chciała się zgodzić, by oddał jej swój. Spierali się o to dobry kwadrans.

Co za uparta kobieta! – pomyślał. – Mało, że uparta. Przekorna. Będzie musiał mieć się na baczności, inaczej znajdzie się pod pantoflem.

– Anne, obudź się! – pochylił się do ucha śpiącej. – Musimy ruszać.

Westchnęła ciężko. Przysunęła się bliżej do ciepłego, silnego ciała mężczyzny.

– Anne!

– Taak? – ziewnęła, nie otwierając oczu.

– Słońce już weszło. – Quinn pocałował zaróżowiony od snu policzek.

– Widzę, ale chciałabym jeszcze trochę poleżeć. Na tych kocach jest nawet całkiem wygodnie – uśmiechnęła się, rozpinając guziki jego koszuli.

– Jak sobie szanowna pani życzy – zgodził się.

Anne uśmiechnęła się z zadowoleniem. Quinn był równie bezbronny w jej ramionach, jak ona w jego. A może nawet bardziej, bo nie mógł tego ukryć. Powoli rozpięła zamek jego spodni i wsunęła rękę do środka.

– Jak dotąd, nie mam żadnych zażaleń – zamruczała. – Szczególnie kiedy sam właściciel dba o... moje potrzeby.

– Naprawdę?

– Uhm.

Szczupłe palce delikatnie pogładziły jego naprężoną męskość. Poruszył się niespokojnie. Chwycił ją za nadgarstek.

– Nie rób tego, maleńka – szepnął ochryłym z podniecenia głosem. – Mam za dużo kłopotów, by brać sobie na głowę jeszcze i to.

Anne roześmiała się.

– Nieważne, co chciałeś przez to powiedzieć. I tak mam zamiar potraktować te słowa jako komplement – zamruczała, całując szorstki od zarostu policzek.

– Anne... – zaczął.

Reszta jego słów utonęła w czułych pocałunkach, jakimi obsypała jego twarz, szyję, ramiona.

– Czas w drogę – westchnął Quinn, niechętnie wypuszczając ją z objęć. –

Masz pięć minut na poranną toaletę. Ja osiodłam konie.

– Pozwól, że sama zajmę się Sadie – poprosiła Anne, podnosząc się z koca.
– Pewnie ostatni raz.

Mężczyzna potakująco kiwnął głową.

– Eddie i jego ludzie powinni już być na Hamakua. Kiedy tam dotrzemy, będziesz bezpieczna.

– Tak. Bezpieczna – powtórzyła cicho.

Quinn zaniepokojonym spojrzeniem obrzucił jej szczupłą, bladą twarzyczkę. Wyciągnął rękę i delikatnie odgarnął opadające na czoło złote kosmyki.

– Obiecuj mi, że zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Anne otoczyła ramionami jego szyję.

– Pod warunkiem, że nie będziesz się niepotrzebnie narażał – powiedziała.

– Kocham cię, Quinn, i nie chcę cię utracić.

Już otworzył usta, by odpowiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Z czułością ucałował rozchylone usta Anne.

– Nie patrz tak na mnie, proszę – szepnęła. – Wcale nie chciałam się w tobie zakochać. Po prostu tak się stało.

– Dobry Boże! Tak bardzo... – zaczął mężczyzna. Resztę jego słów zagłuszył złowrogi warkot. Helikopter powrócił.

Jednostajny rytm ukołysał ją do snu. Sadie potknęła się o jakiś kamień. Anne obudziła się przestraszona. Gwałtownie zamrugła powiekami. Powoli wyprostowała zeszywniały kręgosłup. Jadący przed nią Quinn zdawał się wcale nie odczuwać zmęczenia. Rozparty na swym ogromnym gniadoszu sprawiał wrażenie, jakby siedział na najbardziej miękkim fotelu, a nie w twardym siodle. Z paska zwisała mu podniszczona skórzana kabura z rewolwerem.

Siedzący ich helikopter zniknął. Anne odetchnęła z ulgą. Jechali teraz wzdłuż dość stromego zbocza. W najgorszych miejscach zamykała oczy, zdając się całkowicie na instynkt zwierzęcia.

– Spokojnie malutka – mruzczała do klaczy. – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Cholera! – Quinn ostro ściągnął wodze. Gniadosz stanął dęba. Mężczyzna błyskawicznie zsunął się z siodła.

Sadie potknęła się. Anne z trudem utrzymała się na ścieżce.

– Quinn. Co u licha...?

– Zasadzka! – zawołał mężczyzna, uderzając konia mocno po zadzie. Ogier zarżał i ostrym galopem ruszył przed siebie.

Silne ramiona pochwytyły ją i ściągnęły na ziemię. Quinn krzyknął coś, zdjął z głowy kapelusz i wyrzucił go wysoko w powietrze.

W tej samej chwili z krzaków wysunęły się dwie strzelby. Mierzyły prosto w nich. Kule odbiły się o skały tuż przed końskimi kopytami. Sadie zarżała,

obróciła się i ruszyła z powrotem ścieżką, którą przybyli. Quinn popchnął dziewczynę na ziemię. Gęste krzaki szarpały jej ubranie, wplątywały się we włosy. Ostre gałęzie uderzały po twarzy. Spadali. Toczyli się po stromym zboczu równie bezbronni jak toczony lawiną kamień. Szczęśliwie wylądowali na gęstym i stosunkowo miękkim podszyciu. Wszystko dokoła była zielone. Nawet pokryte mchem skały. Gdzieś nad nimi świstały kule. Hałas był nie do zniesienia. I nagle cisza.

Przygnieciona ciężarem mężczyzny Anne z trudem łapała powietrze. Podczas upadku stłukła łokieć. Piekła otarta na dłoniach skóra.

– Czy... czy oni już sobie poszli? – wydusiła. Quinn przesunął się, uwalniając ją od swego ciężaru.

– Nie – odpowiedział szeptem. – Czają się gdzieś na górze. Czekają, żebyśmy się ruszyli.

Anne zeszywniała.

– Czy nic ci się nie stało? – szepnęła.

– Nie. A tobie?

Z trudem przełknęła ślinę przez ściśnięte strachem gardło.

– Nie.

Oczy mężczyzny pociemniały.

– Sukinsyny! Wyprowadzili mnie w pole – zaklął cicho. – Na pewno zauważyli nas już wcześniej, ale nie podlatywali bliżej, żeby nas nie spłoszyć. Zobaczyli, dokąd się kierujemy i urządzili zasadzkę.

– Ale jak się tu dostali?

– Spuścili się po drabince sznurowej albo przyszli z dołu. Jest tam takie miejsce, gdzie dobry pilot mógłby pokusić się o lądowanie.

Anne zacisnęła zęby.

– Panno Oliver? Żyje pani? – gdzieś w górze rozległ się niski męski głos o silnym południowym akcencie.

Quinn zeszywniał.

– Nie ruszaj się – nakazał jej szeptem.

– Panno Oliver? Proszę się pokazać! Nie zrobimy pani nic złego! Chcemy ubić z panią interes!

Quinn przecząco pokręcił głową. Anne kiwnęła na znak, że zrozumiała.

– To bardzo korzystna oferta, panno Oliver! – przekonywał głos. – Powinna pani dobrze to przemyśleć!

Słowom tym towarzyszył odgłos spadających kamieni.

– Dranie! Schodzą na dół – mruknął Quinn. – Idą po śladach, jakie zostawiliśmy spadając.

Ponownie ciszę rozdarł świst kul. Ołowiane pociski odbijały się o skały tuż nad głowami. Quinn mocniej przytulił Anne, osłaniając ją ramionami.

– Spokojnie, skarbie, spokojnie – powtarzał.

Anne przywarła do jego muskularnego ciała. Ukryła twarz na jego piersi. Czuli, że ich godziny są już policzone. Wiedziała, że zginą tu. Oboje.

Strzały umilkły tak nagle, jak się zaczęły. Ale cisza, jaka po nich nastąpiła, była jeszcze straszniejsza. Quinn wypuścił ją z objęć i ostrożnie przekręcił się na drugi bok. Anne również zmieniła niewygodną pozycję, starając się nie narobić przy tym hałasu. Mężczyzna wyciągnął dłoń i delikatnie pogłaskał ją po stłuczonym czole.

– Będziesz miała siniaka – szepnął z czułością.

– Całe szczęście, że nie jestem modelką – uśmiechnęła się blado Anne.

Quinn popatrzył na nią uważnie.

– Mamy nad nimi jedną przewagę – podjął cicho. – Ci dranie nie wiedzą, że mamy broń. – Sięgnął do kabury.

Anne zadrżała.

– Czy myślisz, że są wystarczająco blisko, żeby strzelać? – spytała.

– Na razie chyba nie, ale mam zamiar dać im wyjątkowo kuszący cel. Myślę, że dadzą się nabrać i wyjdą z kryjówki.

– Jaki cel? – wyjąkała, choć znała już odpowiedź.

– Siebie – uśmiechnął się, wsuwając jej w dłoń rewolwer. – I wtedy właśnie opróżnisz ten magazynek prosto w serca tych drani.

Anne z przerażeniem popatrzyła na rewolwer.

– Nie – zaprotestowała. – Nie możesz tego zrobić. To samobójstwo. Zabiją cię.

– Nie uda im się, jeśli będę biegł wystarczająco szybko. Celuj w klatkę. W magazynku jest sześć pocisków. Powinnaś trafić przynajmniej jednego. Stawiam wszystko, co posiadam, że załatwisz obu.

Anne popatrzyła na niego z przerażeniem.

– Czy... czy nie mamy więcej amunicji?

– Owszem. W torbach. A te zostały przy siodłach. Anne zeszywniała. Sześć kul przeciwko dwóm pistoletom maszynowym?! Quinn umrze, nim ona zdoła wystrzelić pierwszy pocisk. Nie mogła na to pozwolić. Nie Quinn. Nie on.

– Poczekajmy, aż się ściemni, a potem się wymkniemy – powiedziała. Zacisnęła palce na ramieniu mężczyzny. Quinn przecząco pokręcił głową.

– Anne, nie doceniasz naszych przeciwników. Oni też o tym wiedzą i nie będą czekać.

Jakby na potwierdzenie tych słów, ciszę rozdarła krótka seria. Dziewczyna zakryła uszy dłońmi. Wiedziała, że musi coś zrobić. Zaraz. Teraz.

– Wystarczy! – krzyknęła głośno, gdy umilkło echo strzałów.

Quinn popatrzył na nią zaskoczony.

– Cicho! – syknął. – To nie żarty.

Anne zignorowała to ostrzeżenie. Była zbyt zajęta ratowaniem życia mężczyźnie, którego kochała.

– Nie strzelajcie! – zawołała. – Jestem gotowa przyjąć waszą propozycję. Odpowiedziała jej cisza. Kiedy już prawie straciła nadzieję, rozległ się inny męski głos.

– Pokaż się, skarbie! Chcemy wiedzieć, czy jesteś cała i zdrowa.

– Nie mogę – odkrzyknęła. – Padając skręciłam nogę, a mój towarzysz jest nieprzytomny. Chyba nie żyje.

Pochyliła się do ucha Quinna.

– Kiedy podejdziesz bliżej, zacznij strzelać – szepnęła, wsuwając mu w dłoń rewolwer.

Quinn nie tracił czasu na próżne spory. Odbezpieczył broń i skierował ją w niebo.

Tym razem cisza była dłuższa. Anne nerwowo zagryzła wargi. I wtedy do jej uszu doleciał cichy odgłos spadających po zboczu kamieni. Bandyty schodzili na dół. Teraz pozostało już tylko modlić się, żeby jej plan nie zawiódł.

– Skoro nie możesz się ruszać, przyjdziemy po ciebie, skarbie. Tylko pokaż się, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś.

Głosy zbliżały się do ich kryjówek. Anne popatrzyła pytająco na mężczyznę.

– I co teraz?

– Powiedz, że się boisz. Że chcesz, żeby trzymali broń w górze, nad głowami. Chcesz mieć pewność, że nie zrobią ci nic złego.

– Myślisz, że się zgodzą?

– Zaraz się przekonamy. – Quinn pocałował ją. – To na wypadek, gdybym zapomniał ci powiedzieć, że jesteś naprawdę wspaniałą kobietą, Anne.

Przykucnął, szykując się do strzału. Machnięciem ręki dał jej znak, by zaczynała.

– Hej, chłopaki! Skąd mam wiedzieć, że nie zastrzelicie mnie, kiedy się pokażę? – zawołała. Nie musiała się nawet starać. Strach w jej głosie był jak najbardziej autentyczny.

– Dlaczego mielibyśmy cię zabić? Chcemy ubić z tobą interes.

Serce waliło jej jak oszalałe, a po plecach spływały kropelki zimnego potu.

– Unieście do góry broń, tak, żebyśmy mogła ją widzieć. A potem wstańcie bardzo powoli.

– W porządku, skarbie. Będzie, jak chcesz.

Anne odwróciła się do Quinna. Mężczyzna potakująco skinął głową.

– Kiedy zaczniesz strzelaninę, uciekaj. Kieruj się cały czas na południe. Jakies cztery mile stąd jest miasteczko.

Anne wyprostowała się powoli. Gęste krzewy zasłaniały jej widok, ale już po chwili ujrzała swoich prześladowców. Oddaleni o jakieś sto, sto pięćdziesiąt metrów stali z uniesionymi nad głową pistoletami. Czy są wystarczająco blisko? Czy Quinnowi uda się któregoś trafić? Czubkiem języka zwilżyła wyschnięte

wargi.

– Tutaj! – zawołała. Mężczyźni odwrócili się jak na komendę, opuszczając broń. Quinn wystrzelił pierwszy. Jeden z bandytów zachwiał się, wypuszczając z rąk pistolet. Upadł.

Jeden zero – pomyślał Quinn, biegnąc ile sił w nogach, by odciągnąć uwagę drugiego z prześladowców od Anne. Zmarnował dwie kule, by upewnić się, że morderca chwycił przynętę.

Anne krzyknęła. Chciała biec za Quinnem, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Mężczyzna nie przestawał uciekać. Nogi grzęzły mu w zielonej gęstwinie. Kule z cichym świstem przelatywały tuż obok jego głowy. Kierował się w stronę olbrzymiego drzewa. Kiedy był tuż-tuż, poczuł ostry ból w prawym ramieniu. Odwrócił się gwałtownie i przykucnął za drzewem. Jego prześladowca zawahał się na ułamek sekundy, ale to wystarczyło Quinnowi, by przygotować się do strzału. Pierwsza kula chybiła, druga trafiła mordercę w brzuch. W tej samej chwili Quinn dostał w udo. Rewolwer wypadł mu z dłoni.

Anne krzyknęła. Quinn osunął się na ziemię.

– Quinn! O Boże! Quinn! – płakała, biegnąc ku leżącemu. Mężczyzna leżał na plecach. Oczy pociemniały mu z bólu. Nogawka spodni na wysokości uda szybko nasiąkała krwią. Druga taka sama plama znaczyła prawy rękaw jego koszuli. Anne sięgnęła do guzików.

– Nie! – zaprotestował, chwytając ją za nadgarstek.

– Jesteś ranny! Ci dranie cię postrzelili!

– Czy... czy oni nie żyją?

Anne obejrzała się przez ramię na dwie nieruchome postacie leżące nieopodal na piasku.

– Chyba tak.

Quinn kiwnął głową. Przymknął oczy.

– Idź! – powiedział cicho. – Pośpiesz się. Pilot. Przylecą, żeby sprawdzić. Widać było, że mówienie sprawia mu trudność. Strach ścisnął jej gardło.

– Nie. Nie zostawię cię. Mężczyzna groźnie zmarszczył brwi.

– Musisz.

– Nikt nie będzie mi rozkazywał – oświadczyła twardo. Uwolniła dłoń z jego ręki i szarpnęła guziki swojej koszuli. Potrzebowała bandażu, by zatamować krwawienie.

– Anne, posłuchaj! – wycodził mężczyzna przez zaciśnięte zęby. – Daruj sobie. Nie udawaj samarytanki. To do ciebie nie pasuje. Zabieraj stąd ten zgrabny tyłeczek. Z tego miejsca i... z mojego życia też. Mam dosyć udawania, że mi na tobie zależy.

– Jesteś ranny...

– Skarbie, po dorocznym rodeo bywałem już w gorszych tarapatkach, a

mimo to zostało mi jeszcze dość siły, by zaliczyć połowę dziwek w mieście.

Anne popatrzyła na niego zaskoczona. Malujące się w zielonych oczach cierpienie sprawiało mu dużo więcej bólu niż rany od kul, ale wiedział, że jest to jedyny sposób, żeby skłonić ją do odejścia. A przecież od tego zależało jej życie... Wytężając wszystkie siły, jakie mu jeszcze pozostały, wolno uniósł się na łokciach. Usiadł.

– Quinn, dlaczego...?

Mężczyzna chwycił ją za włosy. Przyciągnął jej twarz do swojej i wpił się w jej usta. Anne jęknęła cicho. Poczowała słony smak krwi, która spłynęła z ugryzionej wargi.

– Przestań! – zaprotestowała drżącym od powstrzymanego płaczu głosem. – Wiem, że mówisz tak, żebyś sobie poszła, ale ja cię nie zostawię. Kocham cię, Quinn.

Wargi mężczyzny wykrzywił ironiczny uśmiezek.

– Miłość?! – zadrwił. – Daj spokój, Anne. To dobre dla smarkaczy. Przecież jesteśmy dorośli. Miałaś na mnie chętkę, a ja na ciebie. To wszystko.

Dziewczyna popatrzyła prosto w ciemne oczy. Przeraził ją ich chłód.

– Nie! – zawołała. – Nie wierzę. Quinn sięgnął do zapięcia spodni.

– No to chodź tu, skarbie, i sama się przekonaj – roześmiał się drwiąco.

Anne zakryła dłonią oczy. Poderwała się z kolan i puściła biegiem przed siebie. Quinn odprowadził ją zmęczonym spojrzeniem, dopóki nie znikła za gęstymi krzewami. Czuł, jak opuszczają go siły. Z ciężkim westchnieniem osunął się na trawę. Wszystko ogarnęła ciemność.

Wiedział, że żyje, ponieważ czuł ból. Dokuczliwy, piekący ból w klatce piersiowej. A do tego ta przeklęta noga. Spróbował unieść lekko głowę, by rozejrzeć się dookoła, ale to okazało się zbyt wielkim wysiłkiem. Opadł na poduszkę.

W powietrzu unosił się ostry zapach środków do dezynfekcji. Przekręcił głowę na bok. Obok łóżka stał pomalowany na biało metalowy stojak, z którego zwisał wypełniony przezroczystym płynem plastikowy woreczek. Kroplówka?

Szpital – pomyślał. – Jestem w szpitalu. Miałem wypadek?!

Dopiero po chwili przypomniał sobie wszystko.

– Anne? – wyszeptał chrapliwie.

– A więc nareszcie się obudziliśmy? – zaszczębiotał wesół kobiecy głos tuż nad jego głową. – Najwyższy czas.

– Anne? – powtórzył. – Gdzie ona jest? Nic jej się nie stało?

– Spokojnie, panie Sinclair. Gdyby to pana interesowało, wyjęliśmy panu dwie kule. Jedną z uda, a drugą z ramienia. Wkrótce wrócą panu siły, oczywiście pod warunkiem, że będzie pan o sobie dbał.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Odpowie mi pani wreszcie czy nie? – warknął gniewnie. – Anne. Nic jej się nie stało?

– Pańska przyjaciółka jest cała i zdrowa. Nieźle się namęczyła, zanim udało jej się pana tu przywieźć, ale sen przywrócił jej siły.

– Przywieźć?

– Tak. Słyszałam, że przywiozła pana na koniu. Przerzuconego przez siodło, niby worek ziemniaków. Nie mam pojęcia, jak jej się udało wtaszczyć pana na konia.

– A gdzie...?

– Jest w poczekalni. Zaraz ją zawołam.

Nim Quinn zdążył zebrać siły, by usiąść na łóżku, Anne już była przy nim. Pochylała się nad łóżkiem, by pocałować go na powitanie. Miała bladą, prawie przezroczystą twarz i podkrążone oczy.

– Cześć! – powiedziała miękko. – Już myśleliśmy, że zamierzasz spać przez cały okrągły tydzień.

– Myśleliście?

– Ed Franklyn jest tutaj. I cała armia aniołów stróżów.

– A... Draygon i jego ludzie?

– Ed powiedział mi, że udało się im znaleźć ten przeciek w biurze federalnym i że nie musisz martwić się o Meg i innych. Jego ludzie już tam są. Zgodnie z twoimi rozkazami – dodała z uśmiechem.

Nie przyszło jej to łatwo. Ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny były dla niej ciężką próbą. Najpierw rozpaczliwe poszukiwania koni. Udało jej się znaleźć tylko jednego. Sadie. Potem musiała przerzucić przez siodło bezwładne ciało Quinna. Droga do miasteczka była najdłuższą trasą, jaką pokonała w swoim życiu. No i wreszcie najgorsze: oczekiwanie na werdykt lekarzy. Umrze czy będzie żył...

– Do licha, Anne! Mogli cię zabić – zdenerwował się.

– Mówiłam ci, że nikt nie będzie mi rozkazywał. Lepiej to sobie zapamiętaj.

– Taak?

– Taak – przedrzeźniała go. Pochyliła się nad leżącym. Delikatnie pocałowała szorstki od zarostu policzek.

Westchnął ciężko.

– Chyba musimy porozmawiać. Wyjaśnić sobie parę rzeczy...

Anne zeszywniała.

– Nie teraz, Quinn – powiedziała szybko. – Pielęgniarka powiedziała...

– Teraz – upierał się. – Nie spodziewałem się, że jeszcze tu będziesz.

– Nie mogłam odjechać, nie upewniwszy się, że nic ci nie grozi.

– A teraz? Jesteś już tego pewna?

– Tak.

Ponownie pochyliła się nad nim. Kosmyk złotych włosów musnął go po twarzy. Quinn jęknął cicho.

– Czy coś się stało? – Anne popatrzyła na niego zaniepokojona.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Tak. Do diaska! Stało się.

– Zaraz zawołam pielę...

– Nie trzeba mi żadnej pielęgniarki – przerwał jej Quinn. – To wszystko twoja wina.

– Moja?

– Tak. Kocham cię, Anne. Do licha, kocham cię!

– Wiem – powiedziała cicho.

– Wiesz? – powtórzył zaskoczony. – Skąd mogłaś o tym wiedzieć, skoro ja sam dopiero przed chwilą to odkryłem?

Anne westchnęła. Przysiadła na brzegu łóżka.

– Kiedy byłeś nieprzytomny, wywołałam zdjęcia, które zrobiłam na ranczo. Musiałam zająć się czymś, bo myślałam, że oszaleję.

– Zdjęcia?

– Tak. Aparat był przytroczony do siodła Sadie, a w torbach przy siodle były wszystkie filmy.

– No i? Wyszły? Anne przytaknęła.

– Są naprawdę świetne. Te pierwsze może nie są tak dobre, ale to było wtedy, zanim się we mnie zakochałeś.

Zmarszczył brwi.

– Widzisz, Anne, ja... jestem splukany. Wszystko, co mam, to ten kawałek ziemi, na dodatek obciążony hipoteką.

– Rozumiem. Myślisz, że nie będę cię chciała, bo nie jesteś bogaty?

Quinn westchnął ciężko.

– Nie, wcale tak nie myślę. Cholera! Próbuję wytłumaczyć ci, dlaczego to wszystko nie ma sensu.

Anne wolno pokiwała głową.

– Przestań z tym walczyć, Quinn. Należymy do siebie. Kocham cię, a ty kochasz mnie. Pamiętaj, zdjęcia nie kłamią.

– Akurat! – zachnął się. – To nie ma sensu. Zamienię twoje życie w piekło.

Anne delikatnie pogłaskała ciemną czuprynę.

– Możliwe.

– Jesteś cholernie uparta.

– Owszem.

– Będziemy się kłócić.

– Nie wątpię – uśmiechnęła się. – Ale potem się pogodzimy.

– Wtedy... na wzgórzu. To był jedyny sposób, żebyś mnie zostawiła.

– Wiem. Już dawno ci to wybaczyłam. Od początku wiedziałam, ale

odeszłam, żebyś wreszcie przestał zrędzić.

– Wcale nie zrędze – obruszył się.

– Akurat! Zrędzisz, marudzisz i próbujesz mi rozkazywać, jakbym była jednym z twoich *paniolas*.

Pochyliła się do ust leżącego.

– Do licha! Kocham cię, ty szalona kobieto! Pragnę cię...

Anne gwałtownie zamrugowała powiekami, by powstrzymać napływające jej do oczu łzy.

– Potrzebny ci odpoczynek, Quinn.

– Później. – Machnął lekceważąco ręką. – Kiedy wracasz do Stanów?

– Ed chce lecieć dziś wieczorem. – Zielone oczy zasnuła łzawa mgiełka. – Znalazł mi nowe schronienie.

– Dobry pomysł.

– Nie chcę jechać, Quinn. Chcę zostać tutaj – upierała się Anne. – Z tobą.

– Nie. Musisz jechać.

– Quinn...

Reszta jej słów utonęła w długim, pełnym słodocy pocałunku.

– Potrzebuję trochę czasu, żeby przyzwycząić się do myśli, że znów będę żonaty – zamruczał Quinn z ustami przy jej wargach.

– Czy... czy to oświadczyńy?

– Do diaska! Jasne, że tak. To chyba przez te pigułki – zażartował. – Straciłem resztę zdrowego rozsądku.

– Zgadzam się, pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Że podczas miodowego miesiąca będę mogła robić tyle zdjęć, ile będę chciała.

Quinn westchnął ciężko i znacząco popatrzył na sufit.

– Zdaje się, że wpakowałem się w niezłą kabałę. Anne zachichotała.

– Przecież musimy mieć jakąś pamiątkę do pokazania dzieciom.

Mężczyzna z trudem przełknął ślinę. Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

– Dzieciom?

– Uhm – przytaknęła. – Może nie aż tyle, co stary Josiah, ale dwójka, no, może troje. Oczywiście, jeśli tego chcesz.

Quinn milczał.

– Jasne, że chcę – wykrztusił.

– Aha, i jeszcze jedno. Nie pamiętam, czy ci mówiłam, że kobiety z rodziny Oliverów są wspaniałymi matkami.

EPILOG

Zmęczonym krokiem Quinn wspinał się po stopniach werandy. Zdjął z głowy kapelusz i otarł spocone czoło. Był już wieczór, a on cały dzień spędził na pastwisku, reperując zniszczone przez burzę ogrodzenia. Głód ścisnął mu wnętrzności. Na najwyższym schodku przystanął, by spojrzeć na zielone łąki.

Minął już prawie tydzień od zakończenia procesu Draygona. Teraz, kiedy szef Brigade i jego ludzie znaleźli się za kratkami, nic nie stało na przeszkodzie, by Anne powróciła na wyspę. Mimo to do tej pory nie ustaliła daty powrotu.

– Wkrótce się zobaczymy – obiecywała, kiedy dzwonił. Miała przecież mnóstwo spraw. Musiała sprzedać dom, spakować rzeczy, zorganizować ich transport.

Na niebie zbierały się ciemne, złowrogie chmury. Będzie burza – pomyślał.

A jeśli Anne wcale nie zamierzała wracać? Jeśli przez te cztery miesiące, jakie minęły od ich rozstania, zmieniła zdanie? Może doszła do wniosku, że nie odpowiada jej spokojne życie na wyspach?

Quinn nie zamierzał jej do niczego zmuszać. Wcale nie pragnął, żeby dla niego zrezygnowała z kariery. Może sobie podróżować, gdzie jej się tylko zamarzy, a on będzie tu na nią cierpliwie czekał.

A jeśli Anne doszła do wniosku, że to wcale nie była miłość? Strach ścisnął mu gardło. Pchnął drzwi i wszedł do cichego domu. Meg i goście byli w ogrodzie, przy basenie, skąd dolatywały wesołe dźwięki ukulele. Ze spuszczoną głową rozpoczął wspinaczkę po stromych, wysokich schodach. Był już w połowie drogi, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Uniósł głowę.

Na podeście stała Anne. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie sześć pokoleń żon Sinclairów czekało na swoich mężów.

– Jesteś wreszcie – powiedziała, uśmiechając się nieśmiało. – Już miałam siodłać konia i jechać cię szukać.

– Naprawdę? – Ciemne oczy Quinna rozjaśnił radosny blask.

– Przepracowujesz się.

– Jestem tu szefem. To mój obowiązek.

– A co z resztą twoich obowiązków? – uśmiechnęła się zalotnie.

W oczach Quinna oprócz radości dostrzegła jakby zaskoczenie.

Nie wierzył, że wróce – pomyślała. – Nadal nie może w to uwierzyć. Ale to nic. Już ona postara się, żeby z tych ciemnych, kochanych oczu zniknęło cierpienie. Tak, skarbie – postanowiła twardo w duchu. – Nawet gdyby miało mi to zająć całą wieczność.

Mężczyzna jednym susem przesadził dzielącą ich odległość. Porwał ją w ramiona. Była słodka, miękka, delikatna i pachniała jak kobieta, którą kochał. Jej usta były takie słodkie i czułe...

Anne przywarła mocno do silnego, muskularnego ciała. Mój wspaniały kowboj z wysp! Mój mężczyzna! – pomyślała.

– Witaj w domu, panno Oliver – uśmiechnął się Quinn, dotykając ustami

warg Anne.

Dziewczyna odwzajemniła jego uśmiech.

– Pani Sinclair... – zamruczała cicho. – A może już zapomniałeś, że kobiety z rodziny Oliverów zawsze dostają to, czego pragną?

– I dzięki Bogu – roześmiał się mężczyzna, chwytając ją na ręce.

Ciekawe, czy stary Josiah to widzi? – pomyślała Anne. Miała nadzieję, że tak.